Nr. 26. Warszawa, dnia 19 Czerwca (1 Lipca) 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

PIERWSZY SKOK.

W politycznym handicapie Francyi nowemu rządowi Waldeck-Rousseau udał się pierwszy skok: w Izbie deputowanych d. 26 z. m. prezes gabinetu wygłosił deklaracyę wstępną, najradykalniejszą, jaką usłyszeć mogła Francya w obecnej chwili, i otrzymał za nią *votum* zaufania najbardziej stanowcze z tych, jakie niezliczonym rządom swoim wyrażała dotychczas trzecia rzeczpospolita. Jeżeli dalej tak pójdzie, jeśli nowy rząd swymi błędami, socyaliści swym wilczym apetytem, a radykalni chwiejnością — nie popsują sprawy, można się będzie spodziewać i trwałości republikanizmu i w republikanizmie porządnej państwowo-społecznej działalności.

Nowi ludzie, jak **Jan Dupuy** i Caillaux, nie dostaliby się do rządu dobieranego przez Bourgeois i **Waldeck-Rousseau**, gdyby nie byli szczerymi republikanami; Decrais i Leygues nie kokietowali nigdy prawicy republikańskiej pod **żadną** z jej postaci i nazw gwałcących rozsądek, jak np. przybierana przez Melinistów nazwa „progresistów.“ Sam Waldeck-Rousseau, nie będąc radykalistą, jest to człowiek z głową otwartą, z niezłomną wolą bronienia i obronienia rzeczypospolitej od wrogów wewnętrznych, wreszcie z energią niestartą niepowodzeniem; **napisana** przez niego samego deklaracya rządowa dostatecznie za **nim przemawia**, o ile wymowa słów w polityce, tej sztuce czynów i faktów, bezwzględne znaczenie mieć może.

Kategorya ministrów radykalnych ma nazwiska takie, jak z dawniejszych Lanessana, Delcassé'go, z nowych: Monisa, członka senatu, i dwóch deputowanych: Milleranda i Baudina.

Po za stronnictwami, nie należąc ani do czerwonych, ani do różowych, stoi generał Gallifet jako minister wojskowości. Zyskał on sobie w wojnie wersalsko-paryskiej w kwietniu i maju 1871, a zwłaszcza w straszliwych dniach opanowywania Paryża od 21 do 28 maja sławę okrutnika. Nie maczał rąk ani w bulanżerówce, ani w innych zamachach. Legitymizm, orleanizm, czy bonapartyzm utraciły go na zawsze. Rzeczpospolita stanęła przed nim jako nieodwrócona konieczność, a obowiązek niepolitykowania w wojsku jako prawo. Z tem usposobieniem już wydalony ze służby przez wiek, patrzył na proces sędziów Dreyfusa z procesem honoru armii ściśle związany, okiem niepodległem: to oko właśnie, obiecujące w sprężystość żołnierza wszczepić surowość zwierzchnika, jakim minister być powinien, zalecciło go Waldeck-Rousseau'owi i Bourgeois. Socyaliści nie zapomnieli mu rąbania, kartaczowania całemi masami uczestników komuny i jak tylko nominacyę ogłoszono, zapowiedzieli walkę. Jeżeli drżano w Elizeum o ów wyroczny poniedziałek (dnia 26 czerwca), to nietylko z powodu monarchistów i republikanów Méline'a: lękano się jeszcze i socyalistów, aby rzucaniem swego potępienia nie przeważyli szali głosów. Nie popełnili oni jednak takiego głupstwa: jedni wyszli z sali, nie chcąc zasiadać razem z „mordercą“: inni pozostali dla poparcia nienawistnych wniosków: inni wreszcie poparli rząd, zamierzający bronić instytucyj republikańskich, i ci z woli wzięli najtłuściejszy udziec. Prawica i prawy środek, zajęty przez melinistów, już nie wnioskami, ale obstrukcyonizmem podczas czytania deklaracyi przez prezesa gabinetu—dawały dowód i swej siły i swej nieprzyjaźni. Ostatecznie wszakże deklaracya przebiła się przez krzyk. Większość jej wysłuchała z zadowoleniem, które udowodniła uchwaleniem przejścia do porządku dziennego w słowach: „Izba, zadowolona z deklaracyi i czynów rządu, przechodzi do porządku dziennego.“ Te *czyny* stwierdzają tu wiarę w energię i rzetelność. Ważne są liczby obu obozów głosujących. Na 500 głosów 263 za nowym gabinetem, 237 przeciw niemu. W tym stosunku (526 do 474) pełna Izba z 576 posłów rozpadłaby się na 303 i 173: większość nieoślepiająca ilościowo, ale jakościowo dla przyszłości cenna. Ci, którzy uchwalili *zadowolenie* z gabinetu Waldeck-Rousseau'a, nie odmówią mu pomocy do wzmocnienia rzeczypospolitej. Wydobycie jej z błota społecznego jest już obowiązkiem samego narodu.

Tydzień polityczny. Nowy gabinet Waldeck-Rousseau'a we Francyi stanął przy pomocy Bourgeois, umyślnie d. 21 b. m. przybyłego z Hagi. Składają go: sam twórca jako prezes i minister spraw wewnętrznych, Delcasse—sprawy zagraniczne, **Monis** — sprawiedliwość, Leygues — oświata, Cailloux - skarb, Gallifet — wojna, Lanessan — marynarka, Millerand — handel, **Baudin**—roboty publiczne, Dupuy Jan— rolnictwo, Decrais — kolonie. Dnia 23 z. m. *Journ. officiel* ogłosił nominacye, d. 26 z. m. przedstawili się ministrowie Izbom. Deklaracyę zasadniczą odczytał deputowanym W.-Rousseau, senatorom — Monis. Rząd uważa za swoje zadanie obronę instytucyj republikańskich, uspokojenie i pracę wewnętrzną. Obroni i uszanuje wszelkie wyroki. Armia jest symbolem bezpieczeństwa i dumą Francyi; ale musi być w niej utrzymana karność. Gdy się położy kres niezgodom, będzie można przystąpić do właściwego zadania rzeczypospolitej: do urządzeń ekonomiczno-społecznych. Rząd chce zaufania od Izby. Z ośmiu propozycyj uchwały przyjęto wniesioną przez Perillière'a: „Izba, zadowolona z deklaracyi i czynów rządu, przechodzi do porządku dziennego.“ Zaczęło się już karanie genera-

łów i pułkowników zbyt jawnie krnąbrnych. Do Rennes wysłano już 300 żandarmów. Dreyfus jest już we Francyi. Proces d. 17 lipca.

Sejm niemiecki odroczony do 14 listopada. *Zuchthausvorlage* pogrzebana. Traktat o wyspy Karolińskie przyjęty. Prof. Zorn ma nowe instrukcye co do sądów rozjemczych. Cesarz zrobił Bülowa hrabią.

W sejmie węgierskim ugoda z Przedlitawią przejdzie niezawodnie. Cesarz austryacki zdrowszy.

W Rzymie gen. Pelloux po dwunastodniowym zatorze w sejmie żądane ograniczenia wprowadził za pomocą dekretów królewskich—chociaż sejm zasiada.

Konferencya w Hadze wkrótce się odroczy — ale podobno tylko na krótko.

ŻYCIE SPOŁECZNE

PRZECIW KONIOKRADZTWU.

Świeżo ogłoszona została uchwała Rady państwa, uzupełniająca kodeks karny nowymi artykułami przeciwko kradzieżom koni. Oto jej dosłowne brzmienie:

„I. 931^{1}. Winny kupna lub sprzedaży konia, pochodzącego z kradzieży, gdy mu dowiedzionem będzie, że trudni się tem w formie przemysłu, ulegnie pozbawieniu wszystkich praw szczególnych, nabytych osobiście lub przysługujących stanowi, do jakiego należy i zesłaniu do Syberyi lub oddaniu do poprawczych oddziałów więziennych podług pierwszego, drugiego i trzeciego stopnia artykułu 31.

1643^{1}. Winny jawnej kradzieży koni w okolicznościach, wskazanych w części pierwszej artykułu poprzedniego (1643) i jeśli nadto dowiedzionem zostanie, że trudni się stale koniokradztwem w formie przemysłu, ulegnie: pozbawieniu wszystkich praw i przywilejów szczególnych, osobistych i przysługujących jego stanowi i zesłaniu na Syberyę lub oddaniu do poprawczych oddziałów więziennych podług pierwszego, drugiego lub trzeciego stopnia art. 31. W razie popełnienia tego przestępstwa na ulicy, drodze przejezdnej lub innej komunikacyjnej lub w porze nocnej i jeśli dowiedzionem będzie, że winny trudni się koniokradztwem w formie przemysłu, kara, wskazana w części pierwszej tego artykułu, powiększa się o jeden lub dwa stopnie. W razie gdyby w przestępstwie tem brało udział kilka osób, chociażby nietworzących bandy, winni, trudniący się koniokradztwem w formie przemysłu, ulegną: pozbawieniu wszelkich praw stanu i zesłaniu na Syberyę na osiedlenie.

II. Art. 1654^{1} kodeksu kar (Zbiór Praw, t. XV, cz. I. wyd. 1885) zredagować w ten sposób: 1654^{1}. Winny kradzieży konia, gdy dowiedzionem będzie, że trudni się koniokradztwem w formie przemysłu, ulegnie: pozbawieniu wszystkich praw szczególnych, osobistych i stanowi jegó przysługujących i przywilejów i zesłaniu na Syberyę lub oddaniu do poprawczych oddziałów więziennych podług pierwszego, drugiego, trzeciego i czwartego stopnia art. 31.

III. Część drugą art. 931 kodeksu kar (Zbiór Praw, t. XV, cz. I, wyd. 1885) wykreślić."

Jak widzimy, artykuły te podnoszą znacznie stopień odpowiedzialności koniokradów i ich wspólników. Nie twierdzimy, ażeby sama kara była jedynym środkiem tamującym przestępstwa, gdyż w umoralnianiu ogółu przyjmują udział także inne czynniki. Ale że ona oddziaływa powstrzymująco i że jej dotychczasowa surowość w tej grupie złych czynów była zbyt małą — to nie ulega wątpliwości. Kradzież bowiem koni wymaga z wielu względów szczególnego zabezpieczenia. Naprzód sprzyjające jej warunki: złodziej zabiera przedmiot, który nietylko nie utrudnia mu ucieczki, ale ją ułatwia. Powtóre dla ogromnej masy ludu wiejskiego koń stanowi ważną część majątku ruchomego. Kto nie widział, do jakiej rozpaczy a często ruiny dochodzi wieśniak, który postradał najgłówniejszy organ swej gospodarki lub zarobku, żywiącego całą rodzinę, ten nie może mieć nawet przybliżonego wyobrażenia o jego położeniu. Potrzecie, koniokradztwo stało się u nas już nie łańcuchem pojedynczych występków, ale „przemysłem i handlem," zawodem, gęstą siecią rabunków, niszczących kraj cały. Każdy powiat, zwłaszcza nadgraniczny lub sąsiadujący z większem miastem, liczy po kilkuset złodziei, związanych z sobą formalną spółką lub ścisłem porozumieniem, którzy czyhają ciągle na konie. Uprowadzają je ze stajni, z pastwisk, dróg publicznych, zajazdów itd. Chłop, wracając nocą z targu, musi się trzymać gromady, gdyż sam nie odeprze napaści; kładąc się spać, nie wie, czy nazajutrz znajdzie swego konia. A jeżeli go postrada — tylko skarży się cicho i nawet wykrywszy sprawcę kradzieży, nie zdradza go w obawie zemsty — zabójstwa lub podpalenia. Zdarzają się wypadki, w których rabuś, schwytany na gorącym uczynku, ginie pod drągami i siekierami: są to jednak rzadkie wybuchy rozpaczy. Zwykle pokrzywdzony albo milczy i poddaje się losowi, albo za pomocą pośredników złodziejskich próbuje okupem odzyskać stratę. Wszystko to jest o tyle rujnującem ekonomicznie, o ile zabójczem moralnie. Lud bowiem nietylko ponosi ogromne szkody, ale oswaja się z występkiem, uważa go za konieczny moment naturalnego porządku rzeczy, za coś, z czem trzeba tak się pogodzić, jak z gradem lub suszą.

Uzupełnienie kodeksu w artykułach o koniokradztwie wprowadza wielką zmianę nietylko podniesieniem kar, ale także rozciągnięciem ich na— że tak powiemy — przedsiębiorców tego występku oraz pewną redukcyą pojęcia „szajki." Korzenie złego tkwią nie w samem zdziczeniu czynnych sprawców kradzieży, ale w zbrodniczem działaniu ich patronów, „paserów," którzy nabywają zrabowane konie i z handlu nimi ciągną główne zyski. Złodziej za swoją robotę dostaje zaledwie kilka lub kilkanaście rubli, a właściciel złodziejskiej stajni — zabiera lwią część łupu. Nadto dotychczasowe określenie prawne „szajka"

Andrzej Niemojewski.

LUDZIE Z ZAWIĄZANEMI OCZAMI.

(PARABOLA).

Coraz liczniejsze tłumy snuły się ulicami. Na wszystkich twarzach widniały przepaski, zarówno na twarzach zgrzybiałych starców i matron sędziwych, jak i mężów najpoważniejszych, oraz kobiet najrozumniejszych. Zdawało się, że to dziwne miasto urządziło jakąś niebywałą maskaradę, lecz na niej zachowuje się jak w życiu codziennem. Ulicami przemykały karety. Z okien wychylały się ku przechodniom znane znakomitości, a wszystkie miały przepaski na oczach. Zaczęło mi się to w końcu wydawać tak śmiesznem, iż niemal nieprawdopodobnem. Przetarłem oczy. Gdzie tam! Tłumy, tłumy, tłumy, tłumy, a na wszystkich oczach przepaski! Gdziekolwiek się obrócę — przepaski! Teraz nić już innego niemal nie widzę, prócz owych przepasek. Ludzie zamieniają się w jakieś cienie o zawiązanych oczach. Zaczynam doznawać obawy, czy i moich oczu nie nakrywa jakaś przepaska, może niewidzialna, a więc gorsza od innych! Biegnę przez miasto z ulicy w ulicę, szukam przyjaciół i znajomych, o których wiem na pewno, że przepasek na oczach nie nosili. Niech ich ujrzę, niech się upewnię, że można istnieć bez zawiązanych oczu...

Sen pierzchnął. Wybiegam na ulicę.

Jakże wszystko dokoła podobne do tego, co mi się śniło! Te same kamienice, te same tłumy, te same twarze! A jednak sen tylko snem był. Bo gdzież owe przepaski?

Staję na wylocie trzech ulic i patrzę uważnie po twarzach przechodniów. Nie, nie widzę, niema! Przecież we śnie widziałem na tych twarzach istne chuściska, zawiązane niezgrabnie jak w grze dziecięcej!

Słońce z wyżawy południa leje światłość złocistą między ściany ulic, widać wszystko jak na dłoni, jak przez najwspanialej rżnięty kryształ krótkowidza, wyraziście, każdy rys twarzy, każdy ścieg fizyonomii, każdy punkt oblicza.

Wstępuję do redakcyi „Przewodnika," aby złożyć artykuł, nad którym mozoliłem się kilka tygodni. Redaktor odchyla ręce jak wrota i podsuwa krzesło. Przebiega oczami rękopis, kiwając raz po raz głową na znak żywego łączenia się z kierunkiem moich wywodów, gdy wtem zatrzymał się na piątej stronicy, raz jeszcze począł ją odczytywać, potem jął drapać się po głowie.

Znałem doskonale swój rękopis, więc odrazu domyśliłem się, o co mu chodzi. Nie mogłem tylko zrozumieć, dlaczego mu o to chodzi. Nie szło mi już o artykuł, tylko o wywód myślowy i jego obronę. Wszczęła się tedy między nami żywa rozprawa. Przekonałem się, że redaktor zna nawet niezłe literaturę przedmiotu: mogłem przeto mówić z nim jak z człowiekiem uzbrojonym do walki na myśli w danym zakresie. Rozprawiał rzeczowo, nie unosił się, był nawet zwięzłym. Mimo to dysputa nasza poczęła krążyć w kółko około pewnej przesłanki. Zauważyłem bowiem, że przeciwnik mój w rozumowaniach stale popełnia jeden i ten sam błąd, podobnie jak rachmistrz, który raz w szeregu cyfr dwie mylnie dodawszy, aczkolwiek sprawdza rachunek, nie może dostrzedz omyłki i wreszcie wygłasza twierdzenie, iż rezultat nie zgadza się z założeniem. Wysilałem się na argumenty, starałem się jądro kwestyi wyłuskać z łupiny tego wszystkiego, co z nią uboczny związek miało; ale im ściślej myśl swoją formułowałem, tem zapalczywiej przeciwnik mój upierał się przy swojem. W końcu począł mówić w obronie swego błędu z takim ogniem, jak w obronie aksyomatu, którego cechą jest oczywistość. Poczułem, że od tej chwili wszelka argumentacya straciła racyę bytu, że... Nagle począłem baczniej mu się przyglądać. Siedział głęboko w fotelu, mówił z ręką wyciągniętą, jakby w niej coś ważył: patrzyłem mu w twarz, w oczy... wtem... dziwne!... zacząłem spostrzegać jakiś leciuchny, ledwie dostrzegalny cień pasmem przez twarz po oczach idący... Jak gdyby smuga cieniuchnej jak marzenie, ciemnawej a przejrzystej gazy owinęła mu się niepoczuwalnie dokoła skroni i o-

wymagało dowodów bardzo ścisłej i formalnej organizacyi, kierowanej przez hersztа — i wtedy dopiero kodeks karał jej członków surowo. Obecne przepisy nie żądają takiej organizacyi i grożą osiedleniem na Syberyi uczestników każdej zbiorowej grabieży.

Jeżeli znajomość prawa śród ludu jest wogóle pożądaną, to szczególnie ważnem jest obznajmienie go z ustawą, dotyczącą jego życia. To też sądzimy, że byłoby bardzo pożytecznem, gdyby wójci gmin otrzymali polecenie odczytania nowych przepisów przeciw koniokradztwu włościanom. Dodałyby one jednym otuchy, a drugim posłużyłyby za przestrogę.

CHATA WIEJSKA.

I.

Na wystawie hygienicznej w Warszawie widzieliśmy wzorową chatę chłopską, tj. taką, jaka być powinna, a jakiej w rzeczywistości nie ma u nas nigdzie. Był to domek prosty na prędce zbudowany, lecz przestronny, widny, dwuizbowy z obszerną sienią. Taką chatę znaleźć można jeszcze w moralnych opowieściach dla ludu. Rzeczywistość daje nam wręcz co innego. Jakkolwiek zazdrościmy włościanom pracy na świeżem powietrzu, to jednakże ten najidealniejszy pod względem zdrowotnym rodzaj pracy nie daje rezultatów oczekiwanych, gdyż wszelkie najdodatniejsze warunki życia ludu nikną w masie najgorszych, które na każdym kroku wykazują nam pogwałcenie elementarnych zasad hygieny. Między innemi taką potężną niszczycielką zdrowia ludu jest chata chłopska. Stworzył ją sam chłop według swoich najpierwotniejszych potrzeb, w niej uwydatnił poziom swej kultury, zwyczaje, obyczaje, wymagania i wreszcie cały swój wstręt do wszystkiego, co tylko ma jakąkolwiek łączność z hygieną.

Nasza chata chłopska jest pogwałceniem wszelkich praw i wymagań zdrowotnych. Mieszkania miejskie są dziś kwestyą społeczną i socyologiczną: wywołały one specyalne badania, stworzyły osobną literaturę, a nawet — artykuły prawa. Jedyne tylko mieszkania włościańskie nie zwróciły dotąd uwagi ani prawodawców, ani socyologów, ani ekonomistów, dlatego właśnie, że są *na wsi*, często śród zieleni, śród pól szerokich i aromatycznych. Latem są one istotnie znośne; mają pootwierane okna i drzwi, przytem większość lokatorów śpi w stodołach, na podwórkach, na wozach itd. Ale wejdźmy tam w jesieni lub zimie. W jednej izbie ciasnej, nizkiej, dusznej, ciemnej mieści się po kilka, czasem nawet kilkanaście osób, od starców do dzieci różnej płci. Są tam i chorzy, i zdrowi, i konający, i niemowlęta; obok zaś ludzi — kury, koty, psy, świnie, owce, cielęta itd. Kto miał sposobność wejść w nocy do takiej chaty, ten doznał wrażenia jak gdyby się dostał do słynnej „Psiej groty," lub kamery asfikcyjnej. W takich warunkach rodzina chłopska spędza sześć lub siedem miesięcy do roku. Ze stanem hygieny mieszkań wiejskich ściśle harmonizują warunki zdrowotne na wsi. Bardzo często leży ona w kotlinie śród mokradeł. Ulica błotnista, z wiecznemi kałużami, w których gniją różne odpadki. Nad niemi i w nich wychowuje się dziatwa wiejska. Pomimo to, chłop, według pojęcia powszechnego, jest wytrwały i zdrowy, umie się oprzeć najtwardszym warunkom życia. Nikt tylko nie zwraca uwagi na to, że owa wieś sama przez się tworzy prawo spartańskie, że morduje olbrzymi procent dzieci słabowitych, pozostawiając tylko najodporniejszych.

Chata wiejska jest tedy ważną kwestyą społeczną, dotąd zaniedbaną u nas zupełnie, pomimo swej żywotności. Dobrze więc zrobił p. Kazimierz Rakowiecki, że za pośrednictwem *Kuryera Codziennego* ogłosił kwestyonaryusz szczegółowy, którego rzetelne wypełnienie przez wielu ludzi w różnych okolicach kraju, mogłoby dać bardzo cenny materyał ekonomiczny, społeczny, zwyczajowy, etnograficzny itd. Zaspokoiłby on nietylko prostą ciekawość, lecz dałby podstawy do zorganizowania jakichś środków zaradczych.

W kwestyonaryuszu tym powinny być uwzględnione: charakter miejscowości, śród której leży wieś (wzgórza, płaszczyzny, pola, lasy, łąki, błota, bliskość jezior, rola, urodzajność gleby); niziny czy wzgórza, suche czy wilgotne miejsca; woda do picia, jej ilość i jakość. Liczba mieszkańców wsi, stopień ogólny ich zamożności, liczba i rodzaj służby folwarcznej. Następnie: czy wieś jest rozrzucona na znacznej przestrzeni, czy też skupiona? Z jakiego materyału stawiane są domy we wsi i dla służby folwarcznej? Czy są chaty ziemne i dymne? Czem kryty dach? Ilość i wielkość okien i szyb. Wysokość chatki, wielkość ogrodu i podwórza. Czy przy chacie są przybudówki na chlewy, oborę, stajnię lub stodołę? Jak daleko od chaty znajdują się zabudowania gospodarskie? Następnie kwestyonaryusz obejmuje pytania drobiazgowe, dotyczące wnętrza chaty, jej rozmiarów, ilości powietrza, sposoby zabezpieczania od wpływów atmosferycznych. Dalej: mieszkańcy chaty, liczba rodzin i osób, z wyszczególnieniem wieku, płci i stanu (gospodarze, najemnicy). Ile osób i kto mianowicie sypia w jednej izbie; kto sypia w alkowie lub komorze, kto i w jakiej porze roku sypia w innych zabudowaniach? Czy wewnątrz chaty, szczególnie w izbie mieszkalnej, nie chowa się trzoda, drób, cielę lub owca? Wreszcie: sposób oświetlenia, czystość itd. kończą kwestyonaryusz.

Z przyległego pokoju weszło dwóch współpracowników. Przywabiła ich nasza żywa rozprawa. Wprawdzie nie zabierali głosu, ale tak stanęli przy biurku redaktora, iż nie mogłem ich uważać za sojuszników moich wywodów. Popatrzyłem im w oczy. Cóż u dyabła!..

Trzy twarze przede mną owiewała przez oczy szerokością ręki, niby dymek, jakaś prze...

Wstałem i pożegnałem się.

Właśnie z redakcyi wybiegali chłopaki z naręczami wieczornego „Przewodnika." Pod wrażeniem żywej a drażniącej dysputy stanąłem, aby się przypatrzyć tym gońcom „Przewodnika." I zdało mi się, że zmysł wzroku nie podlega we mnie żadnej złudzie, że to, co widzę, jest zewnątrz mnie. Patrząc tedy, powiedzieć sobie musiałem, iż widzę, widzę wyraźnie wybiegający z redakcyi oddział posłańców z lekką, ledwie dostrzegalną zasłoną na oczach.

Ruszyłem ulicą, patrząc po tłumach. Fala ludzka płynie przeciw mnie, zanurzam się w niej i teraz wszędzie dokoła, przed sobą, obok i za sobą widzę ów lekki, mistyczny cień na twarzach...

Zawracam. Wstępuję do sali na odczyt. Wysoko na mównicy widzę prelegenta. Cisza w sali. Głos jego rozlega się donośnie, brzmi nutą głębokiego, wewnętrznego przeświadczenia. Patrzę na jego twarz... i wybiegam z sali.

Zdawało mi się bowiem, że przed licznie zebraną publicznością stał na mównicy człowiek z zawiązanemi oczami. Co więcej! Przemawiał on do ludzi, którzy również mieli oczy zawiązane.

Słońce odbiegło za morze dachów miejskich i mroczno czyniło się w ulicach. Biegłem gorączkowo, myśli kupiły się w głowie bezładnie, ścierając się ze sobą gromadami.

W pośrodku jakiejś ulicy ujrzałem przyjaciela mego, który, założywszy w tył ręce, patrzył po przechodniach, jak gdyby kogoś szukał. Ale w okolicy ust igrał mu uśmiech żałosno-ironiczny.

Podbiegłem do niego, wskazując na twarze tłumów. Popatrzył na mnie i rzekł z westchnieniem:

— Dopiero teraz to zauważyłeś? Mnie to widowisko oddawna bawi...

Odparłem:

— Czy ludzie ci domyślają się, że coś oczy ich zakrywa?

Przyjaciel mój obruszył się, a potem, zmieniając rozmowę przeszedł w ton żartobliwy, zmrużył oczy i rzekł nieco zjadliwie, a komponował zawsze na poczekaniu:

— Niedawno podszedłem na ulicy do jakiegoś obywatela i skłoniwszy mu się uprzejmie, rzekłem: „Pan dobrodziej nie zauważył, że mu się pajęczyna przyczepiła do twarzy i zakryła oczy." Jegomość zaczął mimowolnie ogarniać ręką nos, potem wybałuszył na mnie oczy i zawołał: „Nic, panie, pan się mylisz!" Ruszył, nachylił się do żony i rzekł gniewnie: „Jakieś waryaty zaczynają włóczyć się po ulicach i ludzi zaczepiać."

Tu przyjaciel mój chrząknął, popatrzył po tłumach, nachylił się ku mnie i, wsunąwszy mi rękę pod ramię, wiódł mnie w dal, mówiąc:

— Czy wiesz, że ja już nawet odcienie tych przepasek odróżniam, nawet barwy... Niemal wszędzie i niemal u wszystkich!.. Czasem wydaje mi się, że już i ja powinienem się postarać o jakąś przepaskę na oczy, aby wreszcie bodaj tego nie widzieć...

Umilkł. Szliśmy czas pewien w milczeniu. Dokoła robiło się coraz ciemniej. Nagle stanął i rzekł:

— A może ja mam już na oczach jakąś przepaskę, bo...

— Dokończ! — odparłem.

Bo widzisz, tak mi się czasem zdaje, że są dwa rodzaje geniuszów na świecie, geniusz idei i geniusz życia. Geniusz idei nie zna żadnych przepasek i dlatego wchodzi w wieczne zatargi z życiem, wiecznie wieszać go będą na krzyżach, lub palić na stosach, bo umie widzieć. Natomiast geniusz życia ma na oczach najgrubszą przepaskę, na jaką świat zdobyć się może, i wiecznie będzie tamtego wieszał na krzyżach, lub palił na stosach, bo umie nie widzieć i tak jak tamten genialnie widzi, tak ten jest ślepy, ale genialnie.

Pomilczał chwilę i w ten sposób zakończył:

— A gdybyś sobie cały świat, wszystkie globy i wszystkie słońca, lecące przez przestrzeń, wyobraził jako jednego olbrzyma, to czy ów olbrzym posuwałby się z zawiązanemi oczami, czy nie? Odpowiedz mi na to.

Któż go ma wypełnić? Projektodawca poleca ten obowiązek... mieszkańcom Warszawy, wyjeżdżającym na wypoczynek. Zdaniem p. Rakowieckiego, łatwiej im przyjdzie, niż mieszkańcom wsi, zbadanie na miejscu obecnego stanu mieszkań ludności wiejskiej, przytem „żywioł miejski, dzięki warunkom swego środowiska, zdolny jest do energiczniejszej inicyatywy, niż wiejski. Udział zaś tego ostatniego jest „pożądany."

Myśl w zasadzie dobra, tylko zalecony sposób wykonania dużo błędów posiada. Przedewszystkiem taką sprawą powinna się zająć instytucya, któraby mogłaby przedsięwziąć następnie jakiejś kroki do wprowadzenia pewnych reform, możliwych np. na drodze prawodawczej lub wogóle zależnych od sfer decydujących. Tymczasem autor chce zebrać materyał za pośrednictwem redakcyi dziennika. Co zaś potem uczyni — nie nie wiemy. Może zechce napisać broszurę lub książkę, gwoli zaspokojeniu ciekawości pewnej gromadki ludzi? Do współpracownictwa zaś zaprasza mieszkańców miasta, w charakterze dostarczycieli materyału, tj. ludzi zupełnie oderwanych od życia wiejskiego. I gdybyż miał na myśli tych, którzy są dziećmi danej okolicy kraju, w mieście zaś tylko się kształcą. Nie! P. Rakowiecki zwraca się do... „letników" lub do tej garstki mieszczuchów z krwi i kości, którzy mając znajomych na wsi, gdzieś dalej od miasta, jadą do nich wytchnąć na parę tygodni. Autor mniema, iż to zadanie jest bardzo łatwe, nie wymaga, oprócz dobrych chęci, żadnych innych kwalifikacyj: zaznajomienie się zaś z warunkami ludności wiejskiej zajmie tylko *kilkanaście*, a nawet... *kilka* godzin. Jak widzimy, cała ta ankieta wygląda na nową zabawę, zadaną nudzącym się „letnikom," a raczej „letniczkom."

Zbadanie warunków mieszkalnych ludności wiejskiej jest zadaniem bardzo doniosłem, więc należałoby do niego wziąć się zupełnie inaczej. Trzeba ułożyć systematyczny plan badań, któryby ogarnął cały kraj i dał możność podzielenia go na grupy, zasadniczo się różniące pod względem ekonomicznym, topograficznym, wogóle geograficznym i etnograficznym. Do pracy zaś należy powołać nie przygodnych letników, przypadkowo zamieszkałych w tej lub innej okolicy miasta czy kraju, lecz inteligencyę, związaną stale z wsią, tj. światlejszych ziemian, lekarzy itd. Tą drogą zebrany systematycznie materyał i przekazany do opracowania jakiejś instytucyi, np. sekcyi rolnej Towarzystwa przemysłu i handlu, miałby wartość realną. Dałby on przedewszystkiem możność wskazania potrzeb i najkrótszych dróg, prowadzących do ich zaspokojenia. Między innemi można byłoby tą drogą wystarać się o wprowadzenie hygieny do szkół, o założenie specyalnych, praktycznych szkół ludowych dla ludności wiejskiej, któreby z czasem wyrugowały pierwotny sposób budowania domów i całych wsi, z pogwałceniem warunków hygieny, bezpieczeństwa publicznego i nawet najpierwszych potrzeb życia codziennego. Tam, gdzie jest wyższa kultura, jak np. za granicą, albo gdzie się przerzuciły jednostki dzielniejsze z owej kultury do nowych ognisk kolonizacyi, domy mieszkalne i wszelkie zabudowania inaczej wyglądają. U nas są jeszcze wsie, posiadające cechy życia ludów pierwotnych.

Wogóle w zakresie rzemiosł wszelakich włościanie nasi kierują się wskazówkami swych praojców. Każdy chłop jest cieślą, stolarzem i mularzem potroszę, ale rzadko który z nich ma jakie takie pojęcie o tych rzemiosłach. Otóż szkoła budownictwa, któraby skupiłaby w sobie ciesielstwo, mularstwo itd., któraby przytem uczyła, jak budować należy, ażeby zadośćuczynić istotnym potrzebom życia codziennego, bezpieczeństwu i hygienie — byłaby w przyszłości bardzo ważnym i skutecznym środkiem naprawy złego. Wogóle naszej ludności wiejskiej brak szkół rzemieślniczych, któreby nauczyły ją pracować intensywnie i urządzić sobie życie bez pogwałcenia najniezbędniejszych jego wymagań. Co do zabudowywania wsi, potrzebne są także pewne przepisy, które dotąd istnieją tylko mimochodem, przypadkowo, tj. zalecają racyonalniejsze zabudowywanie się... po pożarach.

Z NIEMIEC

Berlin, 21 czerwca.

Dziczyzna burszowska i jej wybryki. — Spostrzeżenia cesarza i dola najmitów wiejskich. — Medycyna potentowana i niepatentowana. — Dysputa na kije.

Że dorosły człowiek każe się przez pryncypalną ulicę, stolicy wieźć w dziecinnym wózku, toczonym przez podchmielonych koleżków, jest bezwarunkowo szczytem bezmyślnego wybryku, a jednak praktykuje się, ku uciesze nielicznych gapiów, przez niemieckich burszów, te istoty najbardziej idyotyczne wśród okazałego garnituru kretynów, jakim może poszczycić się ludzkość. Nikt się tutaj nie dziwi, gdy spotyka wieczorem bandę tych kpów z przewodnikiem na czele, który trzyma jako sztandar w ręku... szczotkę do mycia podłogi. W kronice bieżącej podawane są codzień wzmianki o zaciętych bójkach ze stróżem nocnym, o obrzucaniu frontu domów jajami, o błazeńskich procesyach burszów na osłach w pocieszncyh pozycyach. Wszystko to jest w porządku, gdyż ludzi tych nie stać na mądrzejsze koncepty. Lecz z jakiej racyi wtrącają się te mikrocefały (w przenośni) do spraw, które są zbyt skomplikowane dla ich móżdżków? Niechaj uprawiają sobie swój kult Bismarcka i „judenhetze," gdyż do tego fachu nie potrzeba wielkich wysiłków umysłowych. Od niejakiegoś czasu jednak burszowie nie poprzestają na swych specyalnościach i w sposób świętokradzki swemi brudnemi rękoma dotykają się spraw wzniosłych. Studenci z Halli, przestraszeni napływem kobiet do świątyni nauki, postanowili pozbyć się natrętnic, których praca, sumienność i idealizm nasuwają porównanie, wypadające stanowczo na niekorzyść burszów. Otóż panowie ci wystosowali do zwierzchności prośbę, domagając się usunięcia kobiet jako szerzycielek demoralizacyi wśród niewinnych jak nowonarodzone dzieci młodzieńców. W laboratoryach — zapewniali oni — odbywają się gorszące sceny godne Sodomy i Gomory. W prasie zachowawczej rozległ się przeraźliwy sygnał alarmowy. W tym świecie, zalanym falami prostytucyi i łajdactwa, wszechnice były wyspami dziewictwa duchowego, trzeba więc ich strzedz jak oka w głowie. Senat akademicki w obawie, iż matki zaczną bojkotować akademicki przybytek Astarty, uchwalił gruntownie zbadać rzecz. Wprawdzie odezwały się jednocześnie głosy, odradzające rozwałkowywania sprawy, całą petycyę bowiem trudno brać na seryo jako psotę bezczelnych oszczerców. Obecnie pokolenie studentek niemieckich, przejęte zapałem i wiarą w swe ideały, posiada zbyt wielkie wykształcenie i świadomość swej godności, aby zadawać się z dzikimi zawadyakami o posiekanych twarzach. Powtóre czyż można zdemoralizować człowieka, którego porywy nie sięgają dalej po za piwo, skandale i pieszczoty Egerykelnerki? Rzecz zbadano i oczywiście historya o paniach Putyfarowych, gwałcących niewinnych Józefów, okazała się potwornem kłamstwem, za które wodzirejów sprawki pociągnięto do odpowiedzialności. Przy tej sposobności złośliwe opozycyjne pismo ogłosiło kilka ciekawych dokumentów, z których wypływa, iż rząd niemiecki, obsadzając wyższe posady, oddaje pierwszeństwo tym kandydatom, co mogą wylegitymować się jako członkowie którejkolwiek z burszowskich korporacyj. Niektóre z tych stowarzyszeń są cieplarniami kwiatków pruskiej arystokracyi urzędniczej. Jednocześnie z prowincyi posypały się gorzkie żale miasteczek, biadających na ustawiczne najazdy hord burszowskich. Znudziwszy się w murach uniwersyteckiego grodu, robią oni wycieczki do okolic, urządzają hulanki i burdy, przytem gospodarują w sposób iście wandalski. Policya, zwykle nieliczna w miasteczkach, przytem pełna respektu dla burszowskich czapek, chowa się z przestrachem po kątach i wydaje swych współobywateli, a co gorsza — swe współobywatelki, na łup rozochoconej bandy.

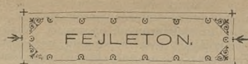
Jak już pisałem poprzednio, cesarz, zwiedzając swój nowy majątek Cadine, był niemile zdumiony, gdy spostrzegł, iż chlewy i stajnie robią wrażenie pysznych pałaców w porównaniu z barakami przeznaczonymi dla parobków. Zrobił też wymówkę rządcy, a jednocześnie łożyskiem prasy popłynęła cała powódź oskarżeń, okazujących, jak dbają o zdrowie i moralność czeladzi ci sami panowie junkrzy, którzy upatrują swą misyę nietylko w masowem nawracaniu na łono chrześciańskiej wiary bogatych żydówek z okazyi ożenku dla pięknego posagu, ale nadto w strzeżeniu moralności i dobra ludu. Tymczasem wypadki ostatnich lat każą przypuszczać, iż jego moralność i dobrobyt upadają. Junkrzy oczywiście umywają ręce i kładą wszystko na karb mitycznego „przewrotu." W ostatnich tygodniach ukazała się praca naukowa, która zbija te gołosłowne zapewnienia. Prof. Weber rozesłał do pastorów ewangelickich przeszło tysiąc formularzy ośmioarkuszowych, prosząc o szczegółowe informacye w kwestyi położenia najmitów wiejskich. Kwestyonaryusz ten — mówiąc nawiasem — jest arcydziełem ankiety. Odpowiedzi otrzymane odsłoniły smutny nad wyraz stan rzeczy w sprawie mieszkań parobków wiejskich. Dane te są nieobojętne i dla nas, gdyż nieraz potrącają o szopy zbudowane dla obieżysasów. Na każdym kroku spotykamy jako prowizoryczną sypialnię prycze i sienniki, umieszczone w stajniach. Pastorowie wołają w niebogłosy, iż mieszkania te są wylęgarniami laseczników suchotniczego. Dzieci śpią, prawie bez wyjątku, na brudnej, mokrej ziemi. Kilka rodzin śpi zwykle razem, płcie są pomieszane. Jeden z pastorów opowiada o dziewczynce, której wyznaczono nocleg na sienniku obok dziewki folwarcznej i jej narzeczonego! Wszelkie uczucie wstydliwości musi zniknąć i przerodzić się w cyniczną rozpustę. Żadne perory nic pomogą, dopóki będą pa-

nowały takie barbarzyńskie stosunki, dopóki pruski junkier będzie marnował krocie na konie, ruletkę i utrzymanki, a jego czeladź będzie wiodła żywot godny kultury hotentotów.

Kwestya lekarska — w Niemczech istnieje już i taka — należy tu do zagadnień tak dalece zawikłanych i najeżonych trudnościami, iż niejednokrotnie projektowano utworzenie specyalnego ministeryum medycznego. Do splecionych w niej zagadnień, jak: organizacya zawodu lekarskiego, kontrola nad jego etyką, sądy rozjemcze, unormowanie taksy, obowiązkowe czynności wobec hygieny społecznej itd.— przybywa nowa — stosunek lekarzy do osób prywatnych, trudniących się praktyką leczniczą. Muszę zwrócić uwagę czytelnika na to, iż niemieckie prawodawstwo stawia łatwo przekraczalne przeszkody samozwańczej praktyce lekarskiej, obwarowując ją tylko nieznacznemi ograniczeniami. Publiczność nietylko nie odwraca się od niepowołanych eskulapów, lecz garnie się do nich z coraz większem zamiłowaniem. Jest to objaw bardzo poważny i smutny, dający wiele do myślenia zarówno publiczności, jak i zainteresowanym. Przeważnie warstwy pracujące nie tają się ze swą nieprzychylnością dla medyków. Powstały specyalne kliniki, lecznice, szpitale i zakłady kąpielowe, oparte na „medycynie naturalnej.“ Ma ona już liczne szkoły: jedna leczy roślinami, druga wodą, trzecia masażem, czwarta magnetyzmem i suggestyą itd. Po części przyczynia się do tego stanu rzeczy skłonność do zabobonów, przesądów i cudactw, właściwa ludowi. Gdy przed kilkoma laty zachorował Falb, zwaryowany hieromantyk i meteorolog, urządzona w tym celu składka przyniosła w krótkim czasie kilkadziesiąt tysięcy marek. Oddziaływa tu jednak i inna przyczyna natury społecznej. Sprzeczność tkwiąca w zawodzie lekarskim, zatarg pomiędzy powołaniem kapłana a profesyą handlowca dają się najbardziej we znaki biedakowi, gdyż w lekarzu szuka on zbawcy, a znajduje obojętnego na bóle ludzkie kupca, który chce sprzedać swe usługi jak najkorzystniej lub w najlepszym razie posługuje się pacyentem jako przedmiotem doświadczenia i tak pięknie przezwanym materyałem klinicznym. Ogłoszone przez pisma wypadki, zresztą wiadome wszystkim oddawna, brutalny i szwindlerski charakter wielu poliklinik tutejszych, a co gorsza nawet niektórych urzędowych szpitali podkopują coraz głębiej powagę i popularność lekarzy patentowanych przez państwo. Korzystają z tego znachorzy. Nietylko wydają swe czasopismo, nietylko mają już obszerną literaturę, w połowie pełną dziwolągów naukowych, lecz utworzyli jednocześnie własną organizacyę, która gorliwie i ze skutkiem agituje na korzyść „własnej medycyny.“ Zwołują się wciąż zebrania, mające oświecać publiczność o wyższości „medycyny naturalnej.“ Na jednem z takich zebrań w przeszłym tygodniu doszło do okropnego skandalu, gdyż do bójki pomiędzy ostemplowanymi lekarzami a eskulapami ochotnikami; grubość kijów i trafność uderzeń służyły za wyższą instancyę prawdy. Wkrótce prokurator i sędziowie orzekną, czy każdy partacz, nieuk lub połowiczny samouk ma prawo rozporządzać życiem ludzkiem, z którem pono i panowie fachowcy obchodzą się niezbyt delikatnie.

H. F.





LIBERUM VETO.

O biedach.

Najczęstszem uczuciem człowieka szlachetnie wrażliwego jest uczucie niemocy. Życie przesuwa ciągle przed nim wypadki i obrazy, które wdzierają się do jego serca i gwałtownie szarpią najtkliwsze struny, wydobywając z nich pobudkę i pragnienie czynu — a tymczasem za słabe siły nie pozwalają mu wyjść po za próg dobrych chęci. Z pod pióra W. Hugo wyrwał się niezmiernej prawdy krzyk: „O jak straszna rzecz nie módz!“ Patrząc na tę męczarnię lub doznając jej, jesteśmy gotowi nieraz przypuścić, że natura ludzka, zabezpieczając się przeciwko temu cierpieniu, drogą doboru naturalnego wzmocniła w sobie instynkty samolubne i uczyniła z nich pancerz dla serca człowieka, broniący go od bolesnych wzruszeń, wstrząsających jego bezsiłą. A chociażby nawet ten wynik był tworem innych przyczyn, chociażby drucianą siatkę naszego egoizmu przyroda utkała na innym warsztacie, to w każdym razie przyznać musimy, że ona z niej zrobiła mocną skorupę szczęścia — powiedzmy ściślej — zadowolenia, wprawdzie podłego, ale zadowolenia. Bo czyż sobkowi nie sprawia rozkoszy zupełna obojętność, z jaką spotyka i mija cudzą niedolę? Przechodzi on szerokim gościńcem, ledwie zakurzywszy sobie stopy, podczas gdy biedny człek przeciska się przez gęsto zwarte ciernie, których każdy kolec zatrzymuje kroplę krwi jego.

Nie potrzeba być ani siostrą miłosierdzia, ani czynnym członkiem Pogotowia ratunkowego lub instytucyi dobroczynnej, ażeby znaleźć się śród tych cierni, doznać gwałtownych targnięć serca i poczuć swą niemoc. Codziennie, wstawszy rano, bezpośrednio lub pośrednio przez dzienniki, znajomych, przyjaciół dowiadujemy się, że ktoś umiera z głodu, że inny marznie bez ciepłej odzieży, inny nie ma za co kupić sobie lekarstwa, inny nie może opłacić szkoły itd., roztacza się panorama niedoli. Pierwszym ruchem wrażliwej duszy jest chęć niesienia pomocy, ale zmierzywszy swe środki, widzi ona jasno, że nie zdoła z nich wykroić plasterka dla jednej małej rany i musi bezczynnie przypatrywać się cierpieniu. A jeżeli nawet zdobędzie się na drobną ofiarę, to ocenia ją sama jako podjęcie ziarnka piasku tam, gdzie trzeba dźwignąć wielką górę. I tak toczy swe fale rzeka łez, zwana życiem, której zaledwie mały odcinek obejmujemy naszym wzrokiem, stojąc nad jej brzegiem. A jakie dramaty wynurzają się z niej czasem!

Przed kilku tygodniami pisma doniosły o samobójstwie pewnej szwaczki na Powązkach. Z mizernego zarobku utrzymywała ona matkę i ojca. Gdy ten zachorował, zastawiła kilka przedmiotów w lombardzie, wreszcie pożyczyła od żydówki 8 rb. Pomimo wszelkich wysiłków nie mogła ani wykupić rzeczy, ani spłacić długu. Wreszcie ojciec umarł (po zamachu na swoje życie). Do tego ciosu przyłączył się inny: wierzycielka, spotkawszy biedną dziewczynę, upomniała się o swą należność zbyt napastniczo i obraźliwie. Biedna dziewczyna, zmordowana biedą, poniewierana przez los, zraniona przez utratę drogich osób, widząc, że oprócz ostatnich 2 rubli oddanych wierzycielce, pozostałych 6 uiścić jej nie może, postanowiła otruć się.

Zgasło młode, czyste życie, rzuciła się do grobu szlachetna istota — z powodu niemożności zapłacenia 6 rubli! Nie przeczę, gdybyśmy znali ten dramat i przewidywali jego rozwiązanie, znalazłoby się między nami wielu, którzyby ten skromny dług spłacili i uratowali męczennicę od śmierci, a może nawet zdjęli cierniowy wieniec z jej czoła. Ale czyż my możemy usłyszeć każdy jęk, a nadewszystko tak przetworzyć życie, ażeby on się w niem nigdy nie odzywał? Jest to niepodobieństwem. Niema takiego społeczeństwa, któreby największem miłosierdziem ukoiło wszystkie cierpienia i zamieniło tragedye na sielanki.

Ale ta niemożliwość nie zdejmuje z nas obowiązku wytężania swej czujności i spełniania obowiązków współczucia. Każdy naród ucywilizowany musi być wielkiem stowarzyszeniem pogotowia ratunkowego, a nie gromadą egoizmów, prowadzących między sobą zaciekłą walkę o byt. Ile zaś postaci przybiera niedola, tyle kierunków mieć powinna działalność dobroczynna. Chodzi bowiem nietylko o szwaczki, którym rozpacz daje do ręki truciznę. Ciągle dobiegają nas wieści, że nasi młodzi uczeni, dopełniający swe studya za granicą, cierpią niedostatek, a paru nawet przypłaciło życiem wytężoną pracę o głodzie. Istnieją wprawdzie zapisy stypendyalne, Kasa Mianowskiego udziela od czasu do czasu zapomóg, ale są to źródła bardzo skąpe i nie zawsze zużytkowywane należycie. Trudno zaś chyba zaprzeczyć, że naszą piętą Achillesową jest nauka. Posiadamy znakomitych poetów, malarzów, rzeźbiarzów, muzyków, słowem, artystów, którym więcej uzdolnień daje natura, niż szkoła; ale poważnych badaczów moglibyśmy zmieścić w jednym tramwaju. Odpowiednio też kształtuje się umysłowość całego społeczeństwa. Każdą głośną powieść francuską czytamy w miesiąc po wyjściu; w podróżach zagranicznych staramy się poznać sławne obrazy, rzeźby i budowle. Nasze rozmowy salonowe lub artykuły dzienníkarskie są plecionkami tak wszechstronnej erudycyi estetycznej, że możemy olśnić i zawstydzić najoświeceńszego Europejczyka. Gdy wszakże zejdziemy na grunt naukowy — poruszamy się na nim jak bohaterowie zakątka. Tu, choć iż nieraz z buńczuczną miną, pleciemy duby smalone, głosimy najfantastyczniejsze teorye, zdradzamy zupełną nieznajomość elementarnych wiadomości i odkrywamy nowe prawdy, które gdzieindziej już dawno przestały być nowymi fałszami. Ile razy uświadomimy sobie tę biedę, pocieszają nas monopoliści i dzierżawcy „pewników niewzruszonych,“ że ona jest naszem szczęściem i zbawieniem, bo chroni od wpadnięcia w otchłanie piekielne: ale nawet ci, którzy bezmyślnie powtarzają tę przechwałkę, muszą często przyznać, że owa zdradna, niebezpieczna a dla nas wysoce szkodliwa nauka bywa w wielu wypadkach niezbędna.

Z pustkami w kieszeni, ale pełną głową marzeń i złudzeń wędrują nasi młodzi do zagranicznych uniwersytetów, bibliotek i pracowni, ażeby tam nabrać światła i przynieść go do kraju. Z początku wiara w powodzenie podsyca się skromnymi zasobami, a nadewszystko tą potężną wytrwałością, na którą tylko młodość zdobyć się może: powoli wszakże siły wyczerpanego organizmu słabną, nadzieja gaśnie, złudzenia tracą barwy i okrutna rzeczywistość nakazuje odwrót z zamkniętej drogi. Trudno bez walki poddać się tak surowej konieczności. Więc następuje szereg daremnych prób zarobkowania. Jedni piszą korespondencye do pism warszawskich, drudzy tłomaczą Niemcom i Francuzom reklamy lub listy handlowe, inni wciskają się do prasy zagranicznej, inni dają oficerom pruskim lekcye języka rosyjskiego (obecnie dość poszukiwane). Tymi sposobami można uspokoić dokuczliwy głód, o-

szukać cierpnącą w chłodzie skórę, podtrzymywać kredyt gospodyni mieszkania, ale gdzie czas, ochota, siły do studyów naukowych? Zamiast posuwać się szybko, wloką się żółwim krokiem, zamiast miesięcy, zajmują lata, zamiast rozległych widnokręgów, kurczą się w maleńkie obręby, aż wreszcie znużenie, zniechęcenie, spóźniony wiek przecinają ostatecznie stargane pasmo bezowocnych wysiłków. Po paru latach takiej szarpaniny kandydat na badacza wraca do domu, chowa w niepamięć kawałki wiedzy, posypuje żar ognia umysłowego popiołem i... zaczyna się starać o posadę na kolei lub w kantorze. Iluż to takich przyrodników, historyków, ekonomistów, filozofów dozoruje robotników kanalizacyjnych lub dodaje cyfry w rachunkach bankowych!

Być może, iż w ciągu ostatnich kilku lat żadne społeczeństwo, stosunkowo do swej zamożności, nie otrzymało tyle darów pieniężnych na użytek publiczny, co nasze. Gdyby zsumować wszystkie zapisy testamentowe i ofiary, wypadłyby miliony. Trudno więc zaprzeczyć, że poczucie obowiązków względem ogółu wyraziło się dowodami bardzo wymownymi. Ale ta nasza wspaniałomyślność ma pewne uprzywilejowane łożyska, któremi się rozlewa i między któremi nie znajdujemy właśnie dostatecznej dbałości o ułatwienie młodym ludziom pracy przygotowawczej na polu naukowem. Po za otwieraniem nowych szkół niższego rzędu nie spotkaliśmy ani jednej poważnej darowizny takiego charakteru. Kasa Mianowskiego oddaje całe swoje ruchome mienie na podobne cele, przeglądając wszakże jej sprawozdania, widzimy, że ją obsiadło prawie niezmienne stadko miejscowych ptaków, które ona troskliwie karmi posiadanem ziarnem i nie zawsze z wielką dla nauki pociechą. Nie jest to jej winą, bo ona nie może wyszukiwać zasługujących na poparcie, lecz musi obdzielać tych, którzy się do niej sami zgłaszają. Mimo to przykro słyszeć, że z jej zapomogi korzysta jakiś amator, którego nawiedzają sny naukowe, podczas gdy istotny badacz gdzieś za granicą przymiera głodem lub z niedostatku porzuca swe studya.

Więc co począć? — pytacie. Nie chcę dla nikogo pisać recepty, pragnę tylko zwrócić uwagę na to, co po za nią zbyt daleko dziś leży, a co na nią bardzo zasługuje. Niech głos publiczny zabrzmi w każdem sercu według jego natury, mnie chodzi jedynie o to, ażeby w niem drgał.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

SZKICE ANTROPOLOGICZNE.

Bajki naszego ludu. — Są one spuścizną po epoce prastarej i odtwarzają w formie fantastycznej widnokręgi i nawet stosunki społeczne doby ówczesnej. — Perseusz, Meduza i Andromeda klasyczne istnieją w swojskiej szacie. — Parę przykładów. — Uogólnienia Hartlanda.

Zdawałoby się, niema rzeczy bezmyślniejszej i zarazem bardziej podlegającej przekształceniom, aniżeli tak zwane bajki i klechdy, opowiadane dzieciom przez niańki. Ich wątek obfituje w takie szczegóły, mówi o takich zdarzeniach i wogóle odznacza się takiem nieprawdopodobieństwem treści, iż nawet umysł najmniej wykształcony czuje dobrze, iż wszystko to jest i musi być nieprawdą. A ktoś gotów nawet powątpiewać, czy istniał kiedykolwiek taki okres czasu, ażeby szczerze wierzono w takie brednie. Do tego dodajmy inną jeszcze okoliczność, mianowicie niezmierną zmienność takich ustnie przekazywanych opowieści. Każdy opowiadający jest, w stopniu większym lub mniejszym, artystą, który przy okazyi nie zaniedbuje włożyć do gadki coś swego, a to „coś" przechodzi w spadku do dalszych pokoleń, przeinaczając zwolna zasadniczy wątek szczegółami, mniej lub więcej fantastycznymi. Treść bajki składa się z ustępów, nieraz luźnie związanych. Opowiadający zapomina o którymś z nich i natomiast włącza inny, to znowu zlewa w jedną całość dwie zgoła odmienne gadki, które odtąd idą w świat jako jedna całość, podlegająca dalszym przeróbkom w ustach dalszych jej naratorów.

Baśń jest jako rzeka, zasilana nieustannie nowymi dopływami z jednej i z drugiej strony. Jej fantastyczność, nieznająca granic, jej chwiejność i zmienność, zdawałoby się, powinny były zupełnie uniemożliwić wyśledzenie rodowodu jej wątków i w ten sposób udaremnić wszelkie starania o poznanie początku tych zabytków twórczości ludowej. Ale ostatnie badania, uskuteczniane przy pomocy metody etnograficzno - porównawczej i oświetlające treść gadek z punktu zwyczajów istniejących jeszcze u szczepów pierwotnych, wykazały, że na tej drodze można osiągnąć bardzo owocne rezultaty. My posiadamy rozległą beletrystykę. Powieściopisarz może stworzyć w własnej wyobraźni każdy szczegół swojego dzieła, ale przedstawione przezeń sytuacye odpowiadają warunkom naszego bytu społecznego, są czerpane z otoczenia, w którem przebywamy, i ułożone według wzorów, jakie artysta ma przed sobą w życiu. Człowiek pierwotny i barbarzyńca także mieli swoje opowieści, tak samo biorące początek w zdarzeniach ówczesnej doby, tak samo będące w harmonii z poglądami, wierzeniami i widnokręgami swojej epoki, tak samo oddające uczucia swego otoczenia. Przechodziły one z ust do ust, przekształcane i zmieniane i przetrwały wśród ludu, pomimo iż w ciągu wieków ukazały się zgoła nowe wzory i stosunki. Gadki nasze są właśnie spuścizną po tej odległej epoce, oraz przedstawiają przekształcony twór opowieści z czasów barbarzyństwa, a nawet dzikości. Rozumie się, wątki lat dawnych, dostawszy się w otoczenie zgoła odmienne, w którem wiele szczegółów utraciło wszelkie znaczenie, musiały uledz silnemu przeinaczeniu: treść, i bez tego już fantastyczna, stała się jeszcze fantastyczniejszą, wyobraźnia, z góry przekonana o tem, że to wszystko jest tylko „bajką," z całą swobodą wplatała pierwiastek cudowności i niedorzeczności, płodziła królewiczów i królewne, obdarzała czarodziejów niesłychaną potęgą, sypała złoto, srebro i dyamenty, stwarzała potwory jeden straszniejszy od drugiego, wogóle nie szczędziła swego polotu, ażeby niedorzeczne uczynić jeszcze niedorzeczniejszem, straszne jeszcze straszniejszem, a cudowne cudowniejszem. Ale, pomimo wieków, te wszystkie przekształcenia nie zdołały przecież zniszczyć śladów spójni pomiędzy tym a owym zwyczajem barbarzyńcy, a treścią takiego lub innego ustępu bajki, nie zatarły piętna rodowego jej wątków.

Znany badacz angielski, E. Sidney Hartland*), przedsięwziął świeżo próbę takiego odgadnięcia niektórych wątków opowieści ludowej, tych mianowicie, które co do treści swojej dadzą się ugrupować około podania o Perseuszu. Praca ta zajęła aż trzy tomy, będące bardzo poważnym przyczynkiem w nowoczesnej literaturze socyologicznej.

Pozwolimy sobie w paru wierszach przypomnieć czytelnikowi treść legendy o bohaterze greckim.

Wyrocznia przepowiedziała jednemu z królów Argosu, iż zginie z ręki własnego wnuka. Akrizjusz, przestraszony taką przepowiednią, zamknął córkę swoją Danae w wieży, skazując ją na wieczne dziewictwo. Ale Zeus nawiedził ją jako deszcz złoty. Król córkę wraz z wnukiem puścił na morze, bałwany zagnały ich na pewną wyspę. Władca jej zamierzył poślubić Danaę, ale ponieważ syn jej, Perseusz, stał mu na zawadzie, postanowił pozbyć się go, wysyłając na wyprawę. Młodzieniec miał mu przynieść głowę Meduzy, straszydła, które każdego, na kogo spojrzało, zamieniało w kamień. Bohater wyszedł przecież zwycięzko z próby. Od przyjaciół swoich, bogów, otrzymał on hełm, czyniący go niewidzialnym, skrzydlate trzewiki, tarczę jak zwierciadło, miecz cudowny. Powracając z odciętą głową Meduzy, zamienia na kamienie króla Atlasa, karząc go za brak gościnności i wreszcie, w poszukiwaniu nowych przygód, zachodzi do Etyopii, gdzie dowiaduje się, iż Andromeda, córka władcy tamtejszego, została oddaną na pożarcie potworowi morskiemu, zesłanemu przez Neptuna dla ukarania monarchy. Perseusz ocala dziewicę i poślubia ją, przyczem musi jeszcze stoczyć walkę z dawnym jej narzeczonym, którego wraz z jego drużyną przemienia w kamienie przy pomocy posiadanej głowy. Powraca potem do państwa swego dziada i wprowadza go tam znowu na tron, z którego ten został strącony, ale podczas pewnego obchodu pogrzebowego nieostrożnie uderza Akrizjusza i zabija go, w ten sposób spełniając przepowiednię wyroczni.

Hartland, wykazawszy, iż opowieść o Perseuszu, taka, jak została podaną przez Owidjusza, stanowi upiększoną i skróconą gadkę ludu ówczesnego, odróżnia z niej trzy zasadnicze wątki. Pierwszy z pośród nich dotyczy zamknięcia córki w wieży samotnej, ażeby ją w ten sposób usunąć od wszelkiego stosunku z mężczyzną, lecz moc przeznaczenia jest większą, niż przedsiębrane ostrożności, i Danae staje się matką, zapłodniona przez deszcz cudowny. Treścią drugiego jest zamordowanie Meduzy pomimo wszelkich nadzwyczajnych przymiotów, posiadanych przez tę wiedźmę. Bohater uskutecznia to zadanie, korzystając z pomocy cudownych sprzymierzeńców, którzy dostarczyli mu miecza i przyłbicy, jak powiedziałby nasz lud, czapki-niewidomki i butów-samochodów. Jądrem wreszcie trzeciego wątku jest ocalenie Andromedy, którą wystawiono na pożarcie potworowi morskiemu, „smokowi." Porównawcze zestawienie bajek obecnych ludów europejskich, oraz wątków azyatyckich, afrykańskich i nawet amerykańskich, świadczy o tem, że wskazane części składowe podania o Perseuszu są bardzo rozpowszechnione w różnych punktach globu, przyczem występują już każda opracowana w samodzielną gadkę lub sagę, to znowu rozmaicie sprzężone z sobą a nawet połączone wszystkie trzy w jedną całość, jak w wersyi Owidyuszowskiej. Ale w opowieści gminu europejskiego i barbarzyńskiego, w związku z wyprawą przeciw potworowi, odpowiadającemu Meduzie lub z ocaleniem królewny ze szponów smoka, istnieje jeszcze jeden wątek, nieprzechowany w legendzie świata starożytnego, przynajmniej w jej formie literackiej. Jest to ów szczegół, iż młodzieniec, udający się się na niebezpieczną wyprawę, pozostawia w ręku brata albo nóż, który pokryje się rdzą, jeśli go spotka jakieś nieszczęście, albo drzewo, które uschnie, albo wogóle inny przedmiot, który w ten lub inny sposób dostarczy komuś wskazówki, iż bohater zginął lub znajduje się w ciężkiem niebezpieczeństwie i potrzebuje szybkiej pomocy.

*) E. Sidney Hartland: *The Legend of Perseus. A Study of Tradition in story, Custom and Tradition.* Część I: The supernatural Birth. Część II: The Life-token. Część III: Andromeda. Medusa.

Wątki tego rodzaju są znane i naszemu ludowi.

Macocha namawia króla, ażeby za karę zamknął córkę w wieży; naturalnie zmyślając jakieś przestępstwo z jej strony. Przechodzi w pobliżu młodzieniec i podrzuca w powietrze czerwone jabłuszko, które wpada do wieżycy. Królewna je spożywa na swoje nieszczęście, bo niebawem wydaje syna. Ojciec, rozgniewany takiem niefortunnem przyjściem na świat wnuka, każe go zamordować, lecz dworzanin zabija psa, przynosi serce jego monarsze na dowód, iż rozkaz został spełniony. Dziecko, wychowane przez miłosiernego prostaka, wyrasta na bohatera i idzie szukać po dalekim świecie przygód. Naturalnie ocali jakąś królewnę, otrzyma jej rękę i wtedy pomści matkę swoją, wykazując nadużycia jej macochy. Losy jego dalsze splatają się z losami bohaterów innych wątków.

Lub też:

Królowa nie ma dziecka. Starzec daje jej cudowny środek i ona powija trzech synów, jej suka — trzy psy, a klacz—trzy konie, na cześć czego król sadzi w ogrodzie trzy drzewa. I młodzieńcy i zwierzęta i drzewa rosną zdrowo i pięknie. Najmłodszy z synów idzie na wyprawę. Po drodze wilk, mysz lub inne zwierzę ofiarowywa mu pomoc. Dzięki tym sprzymierzeńcom zwycięża on strasznego smoka i dostaje rękę królewny. Pewnej nocy spostrzega w odległości światło. Dopytuje się żony, skąd ono pochodzi, ale ta nie chce odpowiadać. Młodzieniec, zaintrygowany, postanawia nazajutrz obejrzeć miejscowość. Znajduje chatkę, w niej starą, pomarszczoną kobietę, czarownicę. Ta prosi, ażeby schylił się i podniósł jakąś rzecz; uczynny królewicz czyni zadość jej życzeniu. Wiedźma uderza go i jego psa różdżką i zamienia na kamienie. Brat skamieniałego dowiaduje się o tem, bo drzewo uschło i jedzie ocalić królewicza. Podobny do brata, zostaje przyjęty jako mąż przez jego żonę, ale nie nadużywa swego położenia i dowiaduje się z rozmowy o wycieczce nieobecnego do samotnej chaty. Udaje się tam — spotyka go los podobny. Wtedy na wyprawę jedzie trzeci z bliźniaków, ale mądrzejszy nie nachyla się, lecz prosi czarownicę, ażeby naprzód sama dała przykład, a kiedy ta nachyliła się, szczuje ją psem i zmusza do powrócenia życia wszystkim ofiarom.

Często dołącza się jeszcze inny szczegół, mianowicie, iż bohater, który ocalił królewnę, zostaje w drodze napadnięty przez złych braci lub kogoś obcego i zamordowany, a królewna zmuszona uznać go za bohatera. Samozwaniec składa staremu królowi łeb smoka, jako dowód swego czynu. Ale zabity zostaje przez zwierzę przyjacielskie, braci lub przyjaciół, przywrócony do życia: akurat przed samym ślubem przychodzi do zamku i żąda od samozwańca, ażeby pokazał ozór smoka. Naturalnie cnota tryumfuje, a zbrodnia ponosi zasłużoną karę.

Nie mnożymy swojskich przykładów, ani waryantów. I przytoczone starczą dla udowodnienia tezy, iż posiadamy własnych Perseuszów, własne Danae, własne Meduzy i Andromedy. Jak wykazuje rozbiór dokonany przez Hartlanda, tacy Perseusze istnieją na przestrzeni od Irlandyi do Japonii i od Skandynawii do Quilimane w Afryce murzyńskiej. Wraz z nimi powtarzają się Meduzy i czarownice, oraz talizmany, pozostawiane braciom. Jedynie Andromedy nie są tak częste i wypadki oddawania dziewic na pożarcie smokom są bardziej zacieśnione w swojem rozpowszechnieniu. Naturalnie, badacz angielski ani chwili nie przypuszcza, ażeby wątki te, tak sobie pokrewne, miały powstać drogą zapożyczenia i przenoszenia się gadki z miejsca na miejsce. Opowieść, opracowana przez poetę rzymskiego, mogła była tu i owdzie przejść w usta ludu, a nawet uczony angielski podaje przykłady takiego spuszczania się utworu Owidyuszowskiego w niziny wyobraźni ludowej. Lecz są to małoważne dopływy do samodzielnego a obszernego morza, ginące w jego wodach. Hartland raczej skłania się ku wnioskowi, iż przytoczone wątki powstawały samoistnie w wielu punktach pod wpływem barbarzyńskich zapatrywań i stosunków, właściwych wcześniejszym okresom życia społecznego. I właśnie jedno z głównych zadań jego pracy polega na wykazaniu, jak wątki cyklu Perseuszowskiego tkwią w normach społeczeństwa barbarzyńskiego i dzikiego. U ludów barbarzyńskich istnieje zwyczaj składania ofiar dorocznych rzekom: lud nasz jeszcze mniema, iż w tej lub innej rzece „koniecznie“ musi ktoś co rok się utopić. Bóstwa rzeki, wymagające takiej ofiary, wodnicy, często mają kształt olbrzymiego węża lub smoka. Andromeda jest więc niczem innem, jeno waryacyą na temat takich ofiar i może ich zniesienia. A ponieważ takie ofiary pojawiają się już na wyższym szczeblu rozwoju, przeto w tej okoliczności należy szukać wytłomaczenia, iż odpowiednie wątki bajek nie są tak rozpowszechnione, jak inne z pośród cyklu Perseusza. Ale rzeczą jest zrozumiałą, iż gdziekolwiek istniały ofiary składane bóstwom wód, wszędzie mogło powstać podanie o walce ze smokiem. Tak samo wątek o cudownem poczęciu jest również tylko fantazyowaniem na temat poglądu, powszechnego u ludów pierwotnych, które nawet tak daleko posuwają się, iż wszelki płód w łonie matki uważają za rezultat wejścia w jej organizm dusz błąkających się po świecie, w zupełnej niezależności od stosunku małżeńskiego. Tak samo wreszcie podania o wiedźmach i Meduzach, mogących człowieka zabić wzrokiem i zamienić na kamień, przedstawiają z jednej strony dalsze rozwinięcie poglądów, zawartych w przesądzie uroczych oczów, z drugiej zaś przesądów, krążących co do wszechwładztwa czarodziejów i pochodzących może ze stanu kataleptycznego, w jaki mogą oni pogrążać pacyentów. Mniejsza zresztą o szczegółowy rodowód: jedno i najważniejsze nie ulega wątpliwości, mianowicie, iż rozpatrywane wątki stanowią jedynie fantastyczne odbicie widnokręgów, wierzeń i stosunków wcześniejszych okresów kultury.

L. K.

LITERATURA I SZTUKA.

POEZYA I RYMY.

Józef Rydecki: *Poezye*. Warszawa 1898 r. — Władysław Zaleski: *Dla niej*, Warszawa 1898 r. — *Ciche pieśni*, Warszawa 1899 r. — Ludwik B.: *Poezye*, Warszawa 1898 r.—Władysław Laszczyński: *Poezye*, Warszawa 1899 r. Bogusław Butrymowicz: *Z słońcem*, Warszawa 1898 r.

Rzeczą jest już uznaną, że od lat kilku zawitała do nas nowa wiosna poezyi. Jest to rzeczywistość, niepotrzebująca stwierdzenia, jak to, że po dniu noc następuje, a po nocy dzień. Czy zazielenią się tej wiosny wspaniałe o rozłożystych konarach dęby, a przynajmniej wysmukłe topole, poważne lipy itd. przesądzać nie będziemy. Ale rozejrzawszy się wokoło, zauważymy niejeden bujnie rozwinięty i kwieciem okryty krzew, wciąż wyrzucający nowe gałązki, liście i kwiaty. A obok tego szczęśliwego i miłośnie pieszczotą wiatru ukołysanego potomstwa karmicielki ziemi, gęstym kobiercem okryła ją drobniejsza jej dziatwa. Ciągle wydobywają się na świat boży nowe roślinki, niekiedy nęcące skromnym swym zapachem, delikatnem żyłkowaniem liści, misternym kształtem korony kwiatowej lub jej ubarwieniem, lecz najczęściej wątłe i wysilone, przy urodzeniu skazane na rychłą śmierć, która z niczyjej piersi westchnienia żalu nie wyrwie. Schylamy się po nie i ledwie spojrzawszy — odrzucamy. Tyle jest przecie piękniejszych...

Wspólnem znamieniem pierwiosnkowych wieszczów naszych — to brak choćby najlżejszego tchnienia poetyckiego, upośledzona wyobraźnia, dziecięca myśl, uczucia płaskie i pospolite. Dodajmy jeszcze dykcyę śmiesznie niezręczną i nieumiejętność budowania zdań podług zasad składni... A obok tego jaka niekiedy zarozumiałość, jakie uroszczenia do „zmateryalizowanego“ świata, niezdolnego jakoby zrozumieć szlachetnych uniesień! Oto np. p. Rydecki, zwracając się do ducha swego, woła w upojeniu: „Och, ileż siły w twoim polocie,“ a swego brata w geniuszu zapewnia, iż „nie wzruszysz duchem marmuru lodów, choć czujesz siły olbrzyma,“ i chyba tylko „potomność proch twój uwieńczy, staniesz się wielki i nieśmiertelny.“ P. R., jak się okazało, jest na większą odległość optymistą, lecz na krótką metę — pesymistą. Jego poezya to same „piołuny“ i „dramaty życia.“ Nic też dziwnego, że chciałby wydostać się z więzów ziemi i wzlatuje w przestwory niebieskie, albowiem „ziemia brudna, potulna, cicha, w pyle się tarza: lecz chociaż często niesfornych karci, tulą się do niej, jak do ołtarza, z marzeń odarci.“ Co to ma znaczyć, nie wiadomo mi, ale tymczasem, niestety, poecie już „*trza* rzucić niebo dla chleba... by pozałatwiać co trzeba.“ To poezya! Wielkość swych wzlotów, swe uczucia patryotyczne zaznaczył p. R. w śpiewie: „Daj mi usta!,“ w którym nadto złożył dowód, iż jest nawskroś współczesnym poetą i wie coś o nagiej duszy. Rozkazawszy w międzynarodowym haremie przystąpić do siebie po kolei Turczynce i Paryżance, zapragnął pieszczotą swą obdarzyć Niemieczkę. W pucharze rozkoszy były jednak same męty. „Jakoś idzie nam kulawo, bom ja Polak, tyś Niemeczka! Dumy swej nie nagnę!...“ Bij zabij nie rozumiem! Ale trudna rada! „Trza“ zwrócić się do cudnej dzieweczki, co smutnie w kącie stoi. Naraz „z ócz mych fala wstydu chlusta, boś ty Polka, droga Polka,“ więc „wprzódy luba do kościoła.“ Nie będę się kusił o to, aby „zebrać *czuciowe* okruchy“ szlachetnych uczuć poety: nie mogę wszelako pozostawić bez wzmianki tej struny jego liry, której brzmienie wyodrębnia go z pośród grona pokrewnych mu duchów. Wszak literatura ma być galeryą unikatów? Otóż p. Ryd., wznawiając tradycye poetów aleksandryjskich, stworzył zwrotkę, mającą kształt romba. Proszę nie lekceważyć tego wynalazku. Dzisiejsza poezya, kojarząc się chętnie z muzyką, a zaniedbując plastykę, wykonywa oczywiście wsteczny zwrot ku czasom dzikości, kiedy była nierozerwalnie złączona z ruchami, krzykiem, uderzeniami tam-tamu. Otóż poeta, pragnąc temu zaradzić, chciałby, aby w utworach jego czytelnik *widział* obrazy (jak wzloty lub udawanie się w podróż, żeby pozałatwiać, co trzeba); a zatem i forma powinna przemawiać również do oka, nie do ucha. W ten sposób osiąga się zupełna jej harmonia z treścią.

Po wysiłkach wzniesienia się na wyżyny, na których p. R. stale przebywa, czytelnik znajdzie wytchnienie, słuchając cichych pieśni p. Wł. Zaleskiego. Naprzód jego dwa zbiorki objętością swoją nie przenoszą dziesiątej części książki p. Rydeckiego. Zaleta nieoceniona. Dodajmy, iż do jednego z tych zbiorków, przeznaczonego „Dla niej,“ dyskrecya nie pozwoli nam zajrzeć. P. Z. odrazu zapowiada, że „o orlim

nie śni locie," iż wyśpiewać pragnie „ciche pieśni" — więc poufałej zbliżamy się do potulnego i skromnego poety. Uczucia jego erotyczne nie są tak rozzuchwalone, jak u p. R., ma tedy wszelkie prawo rzec swej pieśni: „Leć do jej cichych wrót, boś czysta, boś dziewicza, anielskich pełnaś cnót." Prawdziwie, poezya p. Z. nie zgorszy nikogo. Humor jest istotną jej właściwością. A humor to przecież uśmiech (czytelnika) przez łzy. Lecz dużo w „Cichych pieśniach"! Poeta aż w ciszy mogilnej doprasza się ukojenia od trosk: „Ja nie chcę świata wrzaw ani gwaru, o, niech wrzaw moje uszy nie słyszą." Ale oto w „Zmierzchu wieczornym" p. Zal. słyszymy modlitwę pól, „do snu, co kwiecia kołebie." Duch jego wtedy „idzie w ciemną dal, pełną dziwnych snów i czarów, w traw woni balsamicznej zasłuchany szumie, i w głąb boru, gdzie zmilkli już piewcy leśni, idzie w oną(?) wśród szmerów itd." Dziękujemy.

Zakres natchnień i wzlotów p. Ludwika B. w jego „Poezyach" jest o wiele obszerniejszy, aniżeli p. Z. Są tu marzenia we śnie i na jawie, jest miłość i tęsknota, wiara i złudzenie, są morza i góry, pogoda i burze, wrażenia impresyonisty i fantazye ducha... Ale są także i „ciche pieśni." Czyżby p. Ludwik B. chciał również zabawić czytelnika? „Na widok zmian owładło cię zdumienie, i rzekłaś mi: ja nigdy się nie zmienię. Lecz zmiany są— o, leczy nas sumienie! Nie, niema zmian, bo w sercu jest wspomnienie!" Albo: „Pamiętasz z tobą sprzeczkę moją o to: gdzie więcej jest rozkwitu? Ja me wskazałem serce, a ty twoje... A on był w pełni tam i tu..." Tak, to dość zabawne, tylko... zbiorek p. B. jest stanowczo za obszerny.

Aby zatem uśmiech wesołości nie przemienił się na grymas poziewania, otwórzmy co prędzej „Poezye" p. W. Łaszczyńskiego. Ale... czy w ten sposób od nudy się uchronimy? Twarz nowego pieśniarza wygląda poważniej, niż poprzednio wymienionych wieszczów: mimowolnego humoru nie znajdziemy u niego. Lecz czy to zaleta? Śladem wielu swych poprzedników bierze on w obronę mowę bogów, obraża się na Chmielowskiego za nazwę kanarka. Wszystko to jest naturalne; komiczne atoli wrażenie sprawia skwapliwie przez autora przytoczony „glejt," wydany mu przez Wł. Zagórskiego, a mający nas przekonać, ile to „młodzieńczego ognia" i doskonałości formy mieszczą ofiarowane czytelnikowi rymy. Niech p. Ł. upewnieniom tym nie wierzy! Co do sądu Chmielowskiego, był on z pewnością zbyt bezwzględny i surowy, zwłaszcza że wśród „współczesnych" stanął cień Sowińskiego, że w czasie, kiedy znakomity krytyk rzucił w świat niemiłosierne swe słowo, żył jeszcze Asnyk, żyje i śpiewa nam Konopnicka, a wśród najmłodszych „brzmią i dziś śpiewnie polskie lutnie." W słowach atoli Chmielowskiego znalazł wyraz żal, który natchnął niegdyś Ujejskiego smutną skargą: „Mnóstwo słowików słyszę. Takie mnóstwo... Czy to bogactwo nasze, czy ubóstwo?.." „Dawniej, o, dawniej tyle orłów było!" Lecz i te słowiki, i te kanarki — co one p. Ł. obchodzą? Chmielowski, jeżeli dobrze pamiętam, mówi o *pięknych* głosach, *ślicznie* odtwarzających wyuczoną nutę... Że u poety naszego nuta „wyuczona"—to prawda; a najmniej zużytym tematem jest opiewanie starej Warszawy za Gomulickim i Or-otem. Lecz ani o „pięknym" głosie, ani o „ślicznem" odtwarzaniu niema mowy. Nie, nazwa kanarka nie obejmuje p. Ł. Więc po co się obrażać? Nie odmówimy mu wyrażonej przez niego tu i owdzie pewnej szlachetności uczucia, lecz na ogół biorąc, pomysły jego są blade, a ich urzeczywistnienie nie wznosi się nad mierność, całkowicie bezbarwną. Podobnie jak jego liryka przebrzmi bez odgłosu, tak też talent jego dramatyczny (Arya z „Halki") nowej ery w sztuce nie stworzy. Próżno się łudzić; z zapału swego p. Ł. nigdy nie wykrzesze iskry prawdziwego natchnienia poetyckiego. Dumne zapewnienia, że jest „pieśni nowych książek," że „przez ten szydzący świat idzie za Goethem i Byronem" lub: „jak Dante idzie z lutnią swą przez piekło" (nie chciano mu „Ody" drukować), zapewnienia takie bardzo już nam spowszedniały. Zresztą p. Ł. nie jest wybredny. W braku Goetych i Byronów, Dantów i Krasińskich, stałby chętnie w jednym szeregu z... Dumasem-synem.

Pozostawmy go w tem miłem towarzystwie i zapoznajmy się z Bogusławem Butrymowiczem („Za słońcem"); uczynimy to tem chętniej, iż po raz pierwszy doznajemy wrażenia, że spotkaliśmy prawdziwego poetę. Nie wnikamy na razie w treść jego natchnień, nie zważamy na dość liczne, niestety, a rażące usterki językowe (wetkłaś, szeplaś), pomijamy prozaiczne potknięcie się („ziemia leżała w biernym stanie"), pragniemy zapomnieć o cudackich niekiedy skojarzeniach obrazów („twarz pokorną miał robaka"), bo mimo to wszystko wydaje się nam, iż doszło nas echo tonu głośnego i pełnego. Wsłuchajmy się... Znane, znane nuty! Współczesne prądy poetyckie, uosobione w kilku najwybitniejszych naszych pieśniarzach dzisiejszej doby, dotknęły powiewem swym duszę poety, ale poruszyły struny, rzeczywiście w niej istniejące, wyzwoliły drzemiące brzmienia. To oddźwięk pokrewnego tonu na ton głośniejszy. Wydaje się nam, że jeżeli p. B. nie jest jeszcze poetą, to nim kiedyś może... Może, bo pierś jego wzbiera uczuciem, bo fantazya rozporządza obrazami, niekiedy prawdziwie pięknymi, bo często ma na ustach słowo płomieniste lub pełne kryształowego dźwięku. Czy możliwość stanie się kiedyś rzeczywistością? Zdaje się, iż nietylko w języku poety są skazy, lecz i na dnie źródeł twórczości jego są męty. Przedewszystkiem brak mu wielkich i nieosobistych uczuć, o ile to się da wywnioskować ze zbiorku. Uwaga jego skierowana jest ku własnym sprawom i własnym stanom ducha: „Nurek własnego serca!" Tylu ich jest... Wprawdzie poemat „Raj i Kain" świadczy, że umysł poety czuje niekiedy pociąg ku wielkim zagadnieniom ludzkości. Obraca się tu jednak w kole, zakreślonem przez Byrona.

Najwięcej atoli p. B. zawdzięcza Tetmajerowi, z którym go zbliża bogata i malownicza mowa, u którego często się zapożycza w słownictwie, a z którym go łączy nadewszystko wspólny temperament. Lecz u p. B. temperament ten ujawnił się jak dotychczas tylko w zmysłowości. A i zmysłowość ta nie jest taką, jak u Tetmajera. Ten, jeżeli spogląda na Ledę Michała Anioła, zdaje mu się, że „każdy człowiek... mięknie, od palącego rozkoszy nadmiaru," wietrzyki w swawolny ton otaczają nagą Afrodytę i ślizgają się po jej ciele... Zawsze mamy u niego plastykę ciała niewieściego i w następstwie bardzo uproszczoną psychologię kobiety, lecz przecież nie akt fizyologiczny, jak u p. B.! Przyroda u Tetmajera jest „zaciszem," kędy poeta chroni się z kochanką, jest tłem, gdzie „świat cały piersią oddycha gorącą" — albo znowu żyje swem odrębnem, niezależnem życiem, może nawet jest tylko duszą poety... Lecz zarówno w pierwszym, jak i w drugim razie nie jest uczłowieczoną w zmysłowym kierunku, nie przybiera w jego wyobraźni kształtów lubieżnych. A u p. B.? Płyną obłoki po stropie niebieskim i oto „czasem jak złota nić, zmieniona naraz w płomień, dokoła nich wić się zaczyna młody promień; rozkosz różowi je, gdy na piersi śnieżne składa całunki swe gorące i lubieżne..." Róża „pełna słodkich żądz spogląda na motyla" i „piersi młodej wdzięk odsłania ku pieszczocie." Róże, jak widać, lubią łatwe miłostki, bo oto znowu słońce „do mokrych piersi róż przyciska gorące usta złote." Tetmajerowi „życie" przedstawia się w postaci straszydła, które przyciąga do siebie poetę, i obnażywszy swój „obrzydły kształt," budzi w nim jednocześnie wstręt i żądzę. Otóż obraz ten żywcem pochwycił p. B., lecz zamiast życia, mamy tu — poezyę! Osobliwy pomysł! Andromorfizm podobny wywołuje w nas niesmak, a nawet wielki i oryginalny talent wrażenia tego by nie usunął.

Jeżeli zmysłowa nuta Tetmajera u p. B. jest nie zawsze szczęśliwie podniesiona o oktawę, to znowu inna niemniej wydatna tegoż poety odzywa się przyciszoną znacznie. Jest to wspólne obu tęskne pożądanie oderwania się od świata materyalnych, twardych kształtów i zatonięcia w wiecznie falującem, wiecznie płynnem morzu zjawisk, barw, blasków i cieni ulotnych, powiewnych, przenikających się wzajem i unoszących duszę w jakieś eteryczne dziedziny. „Czuję, jak zwolna przestaję być ciałem, jak się zatapiam w czemś niezmiernie smutnem, w jakiemś przestworzu bez granic i lat..." Ale kiedy Tet. ukazuje nam ogromne, otwarte przestrzenie, bezbrzeżną toń morską, obrazy podzwrotnikowej czy przedpotopowej bujnej przyrody — owiewa nas tchnienie nieskończoności, rozszerza się pierś i czujemy, że poezya ta, nawet dążąc do nirwany, jest męską, podnieca naszą energię, lecz nie osłabia jej. Muza p. B. jest bierną. Nie otwieramy źrenicy, by objąć, co się *nazewnątrz* nas znajduje, przeciwnie, przymykamy oczy, ciśniemy rękami powieki i nieruchomo przysłuchujemy się, jak przez duszę naszą przeciąga prąd nieokreślonych tęsknot, pożądań, upojeń... Przed zawartemi oczami nie przyroda się ukazuje — ta już nie istnieje — lecz przewijają się jakieś płomyki, linie, koła, nikłe, wzorzyste plamki... „Przez zduchowione, przesubtelne zmysły potokiem płynie rozkosz dziwnych pieszczeń i prąd wciąż nowych widzeń i żywych żądz... Bladoniebieskie kryształki eteru, liliowe światła naokoło prószą świetlisty pył... Dalej i dalej przez ciszę bez szmeru płynę samnasam z moją własną duszą na skrzydłach jakichś tajemniczych sił..." A z tym nastrojem łączy się nie dążenie do nirwany, lecz tęsknota, wywołana przeświadczeniem o nietrwałości wszelkich rzeczy ziemskich, o kolejnem zamieraniu cząstek własnej naszej istoty.

> Jakieś się cienie ku mnie suną
> Z twarzą kobiety zmarłej, nieruchomej,
> O włosach suchą złocących się słomą,
> To nagle fosforyczną rozgorzałych łuną.
> Wloką się równo, głucho, bezszelestnie
> I patrzą na mnie próżnemi oczyma.
> Wydają mi się obce, a znajome,
> Jakby uczucia z duszy mej zwierciadła.
> Biorąc na się twarze zmarłe, nieruchome.
> . . . .

(D. n.).

A. Drogoszewski.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Gerhard Hauptman: *Kolega Crampton*, komedya w 5 aktach, wystawiona w teatrze Łódzkim na benefis Maryana Winklera.

Ja jestem Crampton!... A wy kto??... — Mieszkam w szynku, stawiają mi piwo, wydalono mnie z tej smorgońskiej akademii, żona się ze mną rozwodzi, upadłem... Ale jestem Crampton, Crampton, do stu tysięcy dyabłów!... A wy kto??...

— Nie profesor, nie Pytya na trójnogu, tylko Crampton!... A wy kto??...

— Popierała mnie królowa Wiktorya, zacna dama, znająca się na sztuce; popierał mnie książę, miał mnie z biedy wyciągnąć... nie wyciągnął... Maluję szyldy... Ale jeszcze jestem Crampton!.. A wy kto?..

— Jeden obraz wymaluję i osłupiejecie! Słuchajcie: przed wami morze, ogromne

morze, przestwór wzburzony, fale pod białym sztandarem pian biegną szeregami, szturmując nadbrzeżny wulkan, buchający kłębami dymu i ognia... Cóż wy, lakiernicy, na to?

— Wydaliliście mnie z akademii, wydaliliście przedtem jedynego zdolnego ucznia... Ba, bo wam nie o sztukę chodzi, ale o respekt dla dyrektora, dla szanownych profesorów, dla pedla... O, pedel w akademii sztuk pięknych, to wielka figura!.. Ale kto wy?

Tak miota się Crampton, Prometeusz malarski w pętach codziennego zarobku, którego los doprowadza do zaszczytu pouczania innych, do wyrokowania o talencie piskląt artystycznych wobec matek, wujów, opiekunów, do posiadania żony i dzieci, tylko nie do malowania...

Burzy się Crampton: ale rewolucyę robią nie jego zalety, lecz jego wady. Naiwny jak dziecko, choć ma poczucie swej siły. Żąda niezależności, a tęskni za protektorami.

Znamy go. On się u nas rodził kilkanaście razy w każdem stuleciu. I wciąż się rodzi żyje między nami, nieuznawany przez „lakierników" posiada talent, tylko talent, nie więcej. Nie posiada natomiast sztuki życia, nie umie wybijać pokłonów przed rozmaitymi pedlami, nie rzuca błyskotliwych teoryj na łamy pism, chce tylko malować!

Gdyby jakaś dobrotliwa ręka podtrzymała go, gdyby jakieś poczciwe serce usunęło drobniutkie przeszkody życiowe, które jak jadowite komary tną twarz artysty, że ciągle się opędzać musi, upuszczając pędzel, wypowiedziałby się, dobyłby z siebie myśli i ubrałby je w kształty sztuki, może zdziwiłby świat a nie obrażał jego poczucia przyzwoitości, jego opinii, czy pruderyi.

Z pomiędzy wszystkich twórców malarze, rzeźbiarze i muzycy należą do kategoryi ludzi najmniej uspołecznionych — i to ich gubi. Hauptman wykazał w tej wspaniałej komedyi, że gubią ich nie rzeczy wielkie, lecz drobnostki. Powiadają, że człowiek jest igraszką losu. Tak, niekiedy musi być nią; ale przeważnie staje się ową igraszką z własnej woli. Duch silny stwarza sobie warunki. Ale na to trzeba mieć charakter. Crampton jest wyrastającą aż pod niebo trzciną, którą lada zawierucha przegnie do błota.

Takie myśli podsuwa utwór Hauptmana. Od czasów Molierowskiego „Chorego z urojenia" Europa prawdopodobnie nie widziała na scenie genialniejszej monografii jakiejś wady ludzkiej, przybranej w formę komedyi.

A jak tę komedyę grano?

Aktor-beneficyant wywiązał się z zadania po mistrzowsku. Marjan Winkler był takim Cramptonem, że niepodobna go sobie plastyczniej wyobrazić. A niechajże biegnie Warszawa do teatru pana Wołowskiego i niechaj się cieszy zarówno sztuką, jak i grą, bo doprawdy, dawno nie spędziliśmy wieczoru tak wspaniale, jak na tej premierze.

Pan Wołowski, jako znany nam przecie literat, siądzie tymczasem na godzinkę, nie dłużej, i poprawi przekład, scenę za sceną, usuwając miliony, nie, miliardy germanizmów. Tłomacz nie ujawnił swego nazwiska, ale to chyba niemiec, który słowa po polsku nie umie. Przekłada więc sylabę za sylabą: „Der Teufel und seine Grossmutter — dyabeł i jego babka," „kam zu Mittag — przyszedł do obiadu," „das Uebrige bekannt — reszta znajoma," „habe meinem Theil durchlebt — przeżyłam swoją część." Są to podobne *curiosa*, jak dosłowne przekłady z języka polskiego na niemiecki: „na rogu ulicy — auf dem Horne der Strasse," lub „zakonnica — Hinterreiterei."

Andrzej Niemojewski.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

HISTORYA. E. Bogusławski: „Historya Słowian," t. II (516 str.).

— K. Seignobos: „Dzieje polityczne Europy współczesnej," t. III.

— Szczerbatow. „Kampania polska ks. Paszkiewicza w 1831 r.," przekład z francuskiego (199 str.).

„Pamiętniki Szymona Konopackiego" (157 str.). *Bibl. dzieł wyb.*

ALBUMY: H. Piątkowski. „Album sztuki polskiej" (wystawa retrospektywna). z. 2.



NIEPOKÓJ.

Skoro życiowej odbiegłam ponęty,
W próg mój spoczynek wkroczył uśmiechnięty;
Odtąd mym ścianom obcy ruch i gwar,
Jak pustej w gmachu bezludnym kopule,
Gdzie dawno dźwięk ostatni zmarł..
Odtąd nadziei do serca nie tulę,
Ni ideałów nie piastuję mar! —
A jednak czasem brzękiem suchym os
Natrętnie wchodzi tu niejeden głos...

Niechno się myśl ma przeciąga ospale,
Jakiejś wichury uderzą ją fale
I szumią nad nią: Mury ciasne krusz!
Wolno ci zdobyć podwodne dziedziny...
Więc nurkiem brodź po głębi mórz!—
Las koralowy brzeżą tam bursztyny,
Tam stosy konchy wkształt srebrzystych wzgórz.
Myśl ma się wzdraga. Jam zmurszała łódź,
Dziś już powierzchni wód nie zdołam pruć!

Gdy się ma wola samej siebie lęka,
Wstrząsa nią jakaś niewidzialna ręka
I coś ją wzywa: Hartuj bodźce swe!
Niech ognie troski, rozczarowań chłody
Gnuśności twej przetrawią rdzę!
Wówczas do pracy, na znój, niewygody
I na śmierć nawet popchniesz ciało mdłe..
Wola się kurczy: Jam topliwy wosk,
Mnie schłoną próby tych palących trosk!

Gdy o nic nie dba duch mój złudzeń syty,
Majaczą przed nim otwarte błękity
I coś go wabi: Gdybyś dotrzeć mógł
Tajemnic pełnej, niebiańskiej krainy...
Tam przystań twa wśród mlecznych dróg!
Sześć złotych skrzydeł kłonią serafiny,
Gdzie słońc kaskadę toczy wulkan—Bóg!—
Duch rwie się, słania i żałośnie łka,
Jam ślepiec—dla mnie wszędzie mrok i mgła!

W PAMIĘTNIKU.

Dzień mi sposępniał pogodny i cichy,
Zeczerniały lilij srebrzyste kielichy
I niezabudek turkusy —
Gdy wśród rozgwaru wesołej przestrzeni
Gra mi pobudkę głos dźwięczny, syreni
Mej towarzyszki — pokusy.

Wracam pospiesznie w swe ponure ściany,
Biorę pamiętnik przed laty pisany —
W nim żyją dzieje mej duszy...
W nim—ból mój—ziarnem siany po kolei,
Kiełkował, wyrósł i w kształt gęstej kniei
Szumi z pożółkłych arkuszy...

A kusicielka pcha mnie, bym raz jeszcze
Spotkał przeszłości swej widma złowieszcze
I w okrucieństwie niezmienne;
Lęk przed męczarnią nawskróś mnie przenika,
Lecz chwiejnym krokiem wchodzę lunatyka
W żywota swego Gehennę,..

Troska ma dawna tu z swej nory idzie,
W biadań codziennych pławiąc mnie ohydzie,
Po ostach nędzy mną tacza...
Niepewność jutra nadbiega zziajana,
Radaby zgiąć mi — jak niegdyś — kolana
U łaski cudzej ołtarza.

Tu ludzka wola, ta nieludzka, głucha,
Co na swą modłę paczyła mi ducha,
Aż zmiął się w dłoni jej czarciej...
I dziś mną wstrząsa jej pyszna powaga,
Z jaką me skargi swym wyrzutem smaga,
Żem się nie bronił uparciej

Upokorzenie, co odnaleźć umie
Plamę śmieszności w najwspanialszej dumie,
Okiem badawczem mnie drażni;
I przeżyć muszę grozę chwili onej,
Gdym pod pręgierze ironii włóczony
Stawał na miejscu mej kaźni...

A na uboczu widzę mimochodem,
Jak z liściem rdzawym, zmrożone zawodem,
Gniją miłości mej róże...
Me łzy przelane rzeką dziś tu płyną,
A moc ich tęga — jak stuletnie wino,
Wzrok zaćmi, mózg mi odurza.

Patrzę—a myśl ma zamknięta w mar kole,
Krąży nad niemi: jej skrzydło sokole
O krok mnie stąd nie uniesie ..
I u wiatraka wiruje tak śmiga —
Ot — jedna drugą po przestrzeni ściga
W granic swych ścisłych zakresie.

Stoję samotny, a bólem pijany,
Z dziką rozkoszą oglądam swe rany
I dyszę ogniem ekstazy..
Skroń ma przed chwilą do ruchu niezdolna,
Zamierza oto na miazgę a zwolna
Rozbijać siebie o głazy...

Gdyby ktoś teraz wzywał przed mym progiem
Mojej pomocy rzężeniem złowrogiem,
Nie wyjdę — niech ten ktoś kona!
Oprócz mąk własnych dziś mnie nic nie wzruszy,
A mieczy ostrych czyjejś tam katuszy
Nie mogę wbijać do łona!

Wtem szumna łez mych objęła mnie fala;
Prądem swym wszystkie widziadła obala
I ubezwładnia mi duszę ..
Lecz wiem: gdy hejnał kuszący usłyszę,
Przez ucztę huczną, marzeń błogich ciszę,
Wrócić do wspomnień swych muszę!..

El—ka.



ROBOTNICY WĘDROWNI W ROLNICTWIE.

I.

Do palących kwestyj ekonomicznych w Niemczech należy niedostatek sił roboczych w rolnictwie. Od lat już kilkunastu mnożą się skargi na brak służby folwarcznej, parobków i dziewek, jak również najmitów niezbędnych w czasie żniw, od lat zaś kilku położenie zaostrzyło się do tego stopnia, że znawcy w tym fakcie upatrują donioślejszą dla rolnictwa klęskę, niż ta, jaką spowodowała konkurencya zamorska, upadek cen. Jest to zjawisko niezmiernie ciekawe zarówno z punktu widzenia teoretyka ekonomisty, jak polityka, gdyż w danym razie chodzi tu po części o skutki polityki barbarzyńskiej państwa niemieckiego względem ludności polskiej. Wiadomo bowiem, że ów brak robotników szczególnie odczuwają prowincye wschodnie, co rzuca ciekawe światło na pruskie rugi ograniczenia, jakim podlegają co do pobytu przybysze z Królestwa i Galicyi, których co rok z bezprzykładnem poniewieraniem prawa narodów, z brutalnością iście pruską landraci zmuszają do opuszczania ziemi, bez ich pracy skazanej na wyjałowienie.

Niedostatek robotnika odczuwa rolnictwo całego państwa, dotkliwym jednak stał on się w dzielnicach wschodnich, na Szląsku, w Księztwie Poznańskiem, Pru-

siach Wschodnich i Zachodnich, Brandenburgii i na Pomorzu. Są to prowincye, które dotąd jeszcze dostarczają zboża dla innych, produkują bowiem 0,35 całego zbioru żyta, pszenicy, jęczmienia i owsa, podczas gdy ludność ich (z pominięciem Berlina) stanowi 0,16 ogółu ludności w Niemczech.

Jak groźnem jest położenie, świadczą obrady toczone w lutym r. b. nad tą kwestyą w sejmie pruskim. Pan Szmula, członek centrum, poslujący z górnego Szlązka zapytywał rząd, co czynić zamierza wobec faktu, że uprawa roli staje się zgoła niemożliwą skutkiem braku robotników? Na poparcie swego twierdzenia przytaczał, że w okręgu Lubczyckim według danych, jakie zdołał zebrać, potrzebowano 1,300 osób służby folwarcznej, zgłosiło się zaś 158; podobnie mają się rzeczy w okręgach przyległych. Doszło już do tego, że jeden z wielkich właścicieli ziemskich puścił pod las 1,000 hektarów dobrej ziemi uprawnej, jedynie dla braku rąk roboczych. Jeżeli tak pójdzie dalej — twierdził mówca — żyzny nasz kraj stanie się wielkim lasem, a drobni właściciele, którzy takiego środka jak ów magnat schwycić się oczywiście nie mogą, pójdą z torbami. Rząd — dodał pan Szmula — dopuszcza wprawdzie na czas najpilniejszych robót ludzi z za kordonu, lecz nie pozwala im pozostać przez rok cały i dlatego nie mamy służby folwarcznej.

W prasie również znajdujemy wymowne przyczynki do tej sprawy. Oto np. co piszą z górnego Szlązka do jednej z gazet niemieckich: „Wszystkie siły robocze odbiera nam firma F.; kto żyw, biegnie do fabryki. Już oddawna było źle, ale teraz, pożal się Boże, doprawdy nie wiemy już, co począć. Ja np. mam 90 morgów roli i staram się prowadzić gospodarstwo możliwie intensywne. Potrzebuję tedy trzech lub czterech dziewek i dwóch parobków. W roku ubiegłym udało mi się nająć zaledwie jednego parobka i dwie dziewki, a i te zbiegły od nowego roku i pomimo gorliwych starań, nie mogłem nająć innych. Teraz żona została bez dziewki przy 15 krowach i 20 sztukach trzody. U innych gospodarzy podobnie się dzieje. Położenie jest wprost rozpaczliwe.“ Podobnych jeremiad można nasłuchać się i naczytać bez liku.

Pan Szmula zatem powiada, że cała wina spada na rząd, który nie dopuszcza robotników z za kordonu. Ów właściciel 90 mórg skarży się na „firmę F.,“ która mu odbiera ludzi. Obaj mają słuszność bezsprzecznie. Ale jak pogodzić fakt braku służby folwarczej, tak mocno dający się we znaki obywatelom ziemskim, ze znanym faktem, że tenże górny Szlązk, taż ziemia poznańska i pruska corocznie wysyłają dziesiątki tysięcy robotników i robotnic nietylko na stałe do miast i zakładów fabrycznych, lecz również do plantacyj buraczanych na zachodzie Niemiec?

A ruch ten, „to obieżysastwo“ przybiera właśnie w roku bieżącym większe, niż kiedykolwiek, rozmiary. W roku ubiegłym wywędrowało z samego tylko Księztwa Poznańskiego — według sprawozdań landratów — 40,000 osób na pobyt czasowy do Saksonii, w roku zaś bieżącym przypuszczają, że wywędruje nie mniej, niż 60,000. Równocześnie jedna z gazet doniosła, że na Szlązku biura stręczeń rozwijają bardzo energiczną w tym roku działalność, takie, które dotąd wysyłały do Saksonii po 300—900 ludzi, obecnie zawerbowały 2,000 do 5,000, a są takie, które wysyłają 20,000 i więcej. Stoimy tedy wobec dziwnej nieco komplikacyi: z jednej strony rozpaczliwy brak sił roboczych, z drugiej zaś wzrastający odpływ ludzi, już nie do przemysłu, lecz do tejże pracy rolnej w innych dzielnicach państwa.

Trzeba tedy nam sięgnąć głębiej nieco i wyjaśnić, dlaczego robotnik ze wschodnich dzielnic, robotnik polski opuszcza kraj i dlaczego staje się „obieżysasem.“

Należy pamiętać przedewszystkiem, że na zachodzie stosunki pańszczyzniane uległy reformie daleko wcześniej, niż na wschodzie. Chłop wielkopolski, szląski, pruski, pomorski odbywał pańszczyznę wtedy jeszcze, kiedy w Saksonii, Bawaryi, nad Renem została o niej zaledwie pamięć. Dopiero kiedy spadkobierca wielkiej rewolucyi, ów bóg wojny, zaniósł orły sztandarów francuskich aż nad brzegi Wisły, kiedy w bitwie pod Jeną huk dział zwiastował unicestwienie dawnej monarchii pruskiej, zaświtała dla chłopa lepsza przyszłość. Dawne państwo junkrów zbankrutowało; w roku 1807 zaczęła się epoka reform przeprowadzonych przez Steina i Hardenberga. Jednakże owo junkierstwo, które tak nikczemnie zachowało się wobec wroga (komendanci oddawali fortece w ręce Francuzów bez wystrzału!) które było przeżarte zgnilizną do szpiku kości, miało dosyć sił, aby przeciwdziałać reformatorom skutecznie. Przez pół wieku niemal junkrzy pruscy umieli odwlóczyć emancypacye chłopów i dopiero po roku 1848 znikła w Niemczech ostatnie resztki pańszczyzny. Lecz przez ten czas junkrzy (a powiedzmy nawiasem ich sojusznicy, brać szlachta wielkopolska) umieli nadać reformie taki bieg, że nie wiele na niej tracili.

Nie możemy tu rozpisywać się o niezmiernie ciekawej, bogatej w fakty charakterystyczne dla buty pruskiego junkierstwa historyi wyzwolenia chłopów w Prusiech.*) Możemy tylko wspomnieć o rezultatach ostatecznych. Rządowi pruskiemu chodziło o wytworzenie „średniego stanu włościańskiego“; chciał on mieć liczny zastęp chłopów zamożnych, którzyby dostarczali grenadyerów dla pułków królewskich, i dopiął tego po części. Wymógł bowiem na szlachcie oswobodzenie i uwłaszczenie chłopów, którzy mieli gospodarstwa włościańskie większe, sprzężajne, włókowe; wymógł, jakkolwiek szlachta zdążyła porządnie skubnąć tych włościan, zanim nastąpiła ostateczna regulacya: junkrzy bowiem rugowali bez miłosierdzia swoich chłopów pańszczyznianych z zajmowanych przez nich gruntów, po części na zasadzie prawa, po części wbrew prawa. Pozostałym w końcu nadano wolność osobistą i umożliwiono im wykup gruntów, na których siedzieli. Inaczej stało się z chłopami niesprzężajnymi, którzy odbywali pańszczyznę pieszą z małych zagonów. Nadano im swobodę osobistą, ale — pozbawiono ich ziemi.

Rzecz miała się tak: w roku 1816 nastąpiło wyzwolenie włościan, otrzymali oni prawo wykupienia się z pańszczyzny, płacąc oznaczony czynszowy okup lub ustępując część roli, którą dzierżyli na prawach służbowych. Jednakże włościaninem jest tylko ten, kto odbywa pańszczyznę sprzężajem. Inni nie mają żadnego prawa do ziemi, lecz są wolni. Ponieważ gospodarstwo dziedziców zostało pozbawione sprzężaju, a jednocześnie powiększone rolą, którą oddali dziedzicowi oswobodzeni włościanie, trzeba było rozpoczynać gospodarstwo folwarczne. Lecz skąd wziąć sił roboczych? Dostarczyli ich owi wolni, bez ziemi ludzie! Junkrzy zatrzymali na roli tych „komorników“ i „chałupników,“ wiedząc doskonale, że z wolności samej żyć nikt nie może, że ci ludzie chcąc jeść, muszą im zaofiarować swoją pracę. Prócz tego owi uwłaszczeni mieli dawniej swoich parobków, gdyż często trzymali grunty tak wielkie, że obowiązani byli stawić kilkoro ludzi na pańszczyznę; kiedy ustąpili swojej roli, wykupując się z pańszczyzny, parobcy okazali się zbyteczni w gospodarstwach włościańskich i zmuszeni byli szukać pracy na obszarach dworskich. Znaleźli więc zarobek owi wolni najmici, lecz roli musieli wyrzec się bezwarunkowo.

Nadeszła w końcu reforma 1850 r., nadająca prawo wykupu tym, którzy siedzieli niegdyś na gruntach i odrabiali pańszczyznę nie sprzężajną, lecz pieszą. Jednakże okazało się, że takich jest już niewielu, a w niektórych prowincyach znikli zupełnie. Szlachta wyrugowała ich z dawnej siedziby, dając tylko zagon pod kartofle, z wyraźnem zastrzeżeniem, że mają prawo do tego zagona jedynie poty, dopóki są robotnikami dworskimi. I oto widzimy ogromny zastęp proletaryatu bezrolnego, któremu już żadna reforma pomódz nie mogła.

Można wątpić, czy dla tych chałupników uwolnienie od pańszczyzny było dobrodziejstwem: dawniej siedzieli oni na swoim zagonie i prawo obyczajowe nie pozwalało dziedzicowi rugować ich stamtąd, pańszczyzna była wymierzona, w razie klęski jakiejkolwiek obyczaj znów obowiązywał dziedzica do niesienia pomocy; teraz ci ludzie otrzymywali mizerny płatek ziemi i chałupę, a musieli przychodzić do roboty dworskiej za ustanowioną, bardzo niską płacę, którą dziedzice mogli obniżać, ponieważ ludzi był nawał. Że zaś oni na tej reformie, przeprowadzonej przez biurokracyę pruską, wyszli niezgorzej — nie ulega kwestyi: otrzymali na własność co najmniej trzecią część gruntów, które dawniej należały do włościan sprzężajnych, a za dwie trzecie, które przeszły w ręce chłopów, dostali okup sowity. Na samym Szlązku uczynił on miliard marek i w tymże stosunku wynagrodzono junkrów w innych dzielnicach; prócz tego państwo otworzyło im kredyt ogromny. Posiadając tedy nadmiar ziemi, obficie zaopatrzeni w kapitał i rozporządzając tanią siłą roboczą, zaczęli iście wielkokapitalistyczną produkcyę zbożową. Szczęśliwy zaś dla właścicieli ziemi los zrządził, że w owym czasie od r. 1850 do 1875, ceny zboża skutkiem wzmożonego popytu w Anglii i na zachodzie Niemiec wzrastały bezustannie. W r. 1850 pszenica płaciła na dzisiejsze pieniądze 168 marek za tonnę (1,000 kilogramów), żyto 124; w roku zaś 1875 pszenica 235, żyto 179. Szły w górę ceny, narastała renta, ceny ziemi podnosiły się jeszcze szybciej, niż zboże. Żeby pomnożyć rentę, junkrzy (ciągle dodawać należy: i brać szlachta wielkopolska) na nowo jęli rugować ludzi z ziemi — wykupywali włościan małorolnych i odbierali owe ubogie płatki swoim komornikom, którym woleli płacić cokolwiek więcej gotówki i dawać ordynaryę w kartoflach i życie. Oto jak kształtowały się stosunki ludności rolniczej do dziedziców na wschodzie państwa niemieckiego w wieku bieżącym.

Po r. 1875 nastaje nowa era: ceny zboża, wskutek wzrastającego wywozu z Rosyi i napływu pszenicy z za morza, zaczynają spadać również szybko, jak przedtem wzrastać, renta zniża się jeszcze szybciej, odsetki olbrzymich długów hypotecznych zaczynają ciężyć niepomiernie dziedzicom, nastaje ruina. Poczęli się tedy kurczyć junkrzy butni, poczęli wołać o cła zbożowe, o reformę monetarną (spodziewali się bowiem, że jeżeli zaprowadzony będzie bimetalizm, zapłacą długi, zaciągnięte w złocie, tańszem srebrem), zaczęli sarkać na „manczesteryzm“ i przyzywać pomocy państwowej, oni, co w czasie wysokich cen zbożowych byli „wolnohandlowcami z zasady.“ Nie pomogło to i nie pomoże: jeszcze miliardy morgów ziemi urodzajnej czekają pługa w Ameryce południowej, na Syberyi, w Australii, w Egipcie, w Indyach. Dobre czasy dla junkrów nie powrócą.

*) Historyę tę napisał, ogłaszając wszystkie ważniejsze akta urzędowe, profesor G. H. Knapp: „Die Bauernbefreiung und der Ursprung der Landarbeiter in den älteren Theilen Preussen.“ Lipsk 1882, 2 tomy.

Tymczasem zaszły inne jeszcze zmiany, które odbiły się na stosunkach rolnych: rozwijające się z niepomierną szybkością Stany Zjednoczone potrzebowały ludzi; od r. 1880 do 1885 wywędrowało z Niemiec do Ameryki północnej 900,000 osób, z tego większa część pochodzi z dzielnic na wschód od Elby, a i teraz jeszcze odpływ do Ameryki, zarówno północnej, jak południowej, jest olbrzymi. Jednocześnie zaczął się rozwijać z bajeczną szybkością przemysł Niemiec zachodnich, do czego przyczyniło się zjednoczenie państw rzeszy po wojnie 1870 r. Westfalia, prowincye nadreńskie, Saksonia, wielkie miasta handlowe i przemysłowe, jak Berlin, Hamburg, Brema, Lubeka, potrzebowały dużo ludzi. Zaczął się odlot owych wyrugowanych z ziemi dawnych pańszczyźniaków z Prus, Księstwa, Szląska, całymi tysiącami wywoziły ich nowopobudowane koleje do miejsc, gdzie spodziewali się znaleźć większy zarobek. Nareszcie powstał jeszcze jeden rynek na ręce robocze, zaopatrujący się w żywy towar w dzielnicach wschodnich — w prowincyi saskiej rozwinęło się gospodarstwo buraczane i plantatorzy potrzebowali tysięcy rąk.

Jednakże dlaczegóż ci biedni wyrobnicy poznańscy, szląscy i pruscy wędrują tak tłumnie do miast przemysłowych? Prawdopodobnie dlatego, że im źle na ojczystej ziemi. Właściciele ziemscy przeczą temu zapalczywie w parlamentach i prasie. Na wspomnianem posiedzeniu sejmu pruskiego jeden z posłów polskich twierdził wręcz, że płace robocze w prowincyach wschodnich są wysokie, że czeladź folwarczna opływa w dostatek, „jada sześć razy tygodniowo mięso, przyczem trzy razy pieczyste z kompotem“; w prasie agrarczyków można spotkać podobne wywody. Uciekają zaś ludzie do fabryk Saksonii, ponieważ chcą „pędzić żywot rozwiązły, pociąga ich rozpusta miejska,“ jak twierdzono na temże posiedzeniu sejmu. Znaleźli się nawet tacy, co odkryli szczególny, wrodzony jakoby plemieniu słowiańskiemu „popęd do wędrówki,“ o czem pono nie śniło się dotąd etnologom. Oczywiście tego rodzaju gadanina parlamentarna faktu nie wyjaśnia i musimy postarać się o zbadanie, jak w rzeczywistości żyją robotnicy rolni, czy to rzeczywiście tak im błogo na ziemi ojczystej, że tylko jakieś fanaberye robią z nich „obieżysasów.“

(C. d. n.).

Dr. J. B. Marchlewski.

W DALI.

Radom. Hr. Ludwik Mycielski wystąpił do władzy gubernialnej z podaniem o pozwolenie dokonania studyów nad budową kolejki wązkotorowej, poruszanej motorami parowymi, od przystanku kolei Dąbrowskiej Szydłowiec przez Pawłów, Chlewiska, Rzuców, Borkowice, Kuźnicę, Janów do Przysuchy, na ogólnej przestrzeni 35 wiorst. Potrzeba kolejki motywowana jest tem, że w okolicy znajdują się kopalnie żelaza i fabryki odlewnicze, których właściciele, z braku kolei, nie mogą rozszerzyć działalności przemysłowej swych zakładów, a nawet obawiają się stopniowego ich upadku, zwłaszcza wobec nowego prawa o ochronie leśnej, grożącego wyczerpaniem węgla drzewnego, koniecznego do fabrykacyi, przywóz zaś węgli kamiennych i koksu dziś jest zbyt kosztowny i kłopotliwy.

Kijów. P. Jan Owsiński, autor „Nowego systemu rolnictwa,“ zorganizował w Kijowie nowe stowarzyszenie, które nazwał „Organizmem ekonomicznym.“ Zadaniem jego ma być takie połączenie rolnictwa z przemysłem, ażeby przemysł nie gnębił rolnictwa, lecz, przeciwnie, dopomagał mu do rozwoju i przetrzymywania kryzysów naturalnych. „Organizm ekonomiczny“ ma w tym celu zakładać po wsiach przeróżne niewielkie fabryki i warsztaty i dążyć do tego, ażeby stowarzyszone fabryki i warsztaty wyrabiały dla siebie wszystko niezbędne, a więc cukier, szkło, tkaniny itp., oraz prowadziły między sobą pewnego rodzaju handel zamienny. Akt notaryalny nowego stowarzyszenia podpisali pp.: Jan Owsiński, Wacław Sikorski, Józef Janczewski, Ignacy Żuchowski, Cwietkow, Konstanty Langert, Stanisław Skalski, Lucyan Jurkiewicz i Stanisław Dobrowolski.

Moskwa. Rada miejska moskiewska, za przykładem miast zagranicznych, postanowiła otworzyć specyalne biuro, w celu wyszukiwania zajęć dla ludzi ubogich. Pośredniczyć ono będzie w wyszukiwaniu źródeł zarobku wszystkim interesowanym, mieszkającym w Moskwie i najbliższych jej okolicach, z wyjątkiem dzieci do 15 roku życia, więźniów i żołnierzy, dla których zwierzchność zajęcie wyszukuje. Biuro pobierać będzie nieznaczną opłatę od zarobkodawców, lecz i ta po pewnym czasie ma być zniesioną. Podług przypuszczalnych obliczeń, biuro będzie musiało dostarczać rocznie 125,000 zajęć i miejsc, jeżeli w Moskwie okaże się ten sam stosunek potrzebujących zarobku do ogólnej liczby mieszkańców, co i w miastach zagranicznych. Biuro moskiewskie posiadać będzie w mieście trzy kantory filialne, koszty zaś utrzymania jego obliczono na 20,370 rb. rocznie.

— W dalszym ciągu nadesłano na konkurs poetycki *Prawdy* następujące utwory:

76) D. O. M.

77) Bolesław Chrobry.

UWAGA. Jedno z pism, dla którego potwarz jest chlebem powszednim i słodkim, doniosło, że na naszym konkursie nagroda z góry przeznaczona została p. Sterlingowi. Jeżeli ta nizka insynuacya ma jakikolwiek cel, to tylko ten, ażeby siedmiu ludzi uczciwych, składających komitet, którzy podjęli się ciężkiej pracy przeczytania i ocenienia stosu rękopisów, znieważyć oszczerstwem, a zarazem zniechęcić autorów do przyjęcia udziału w konkursie. Ażeby zaś czytelnikom dać pojęcie o faktycznej podstawie tego krzywdzącego domniemania, dość będzie, gdy zapewnimy, że 1) dotąd odbyła się tylko krótka, przedwstępna narada sędziów; 2) podczas tej narady ani jedno nazwisko nie było wspomniane nawet w formie domysłu; 3) pierwszą partyę nadesłanych utworów rozdzielono do czytania losowaniem; 4) o uczestnictwie p. Sterlinga w konkursie żaden z członków nawet nie słyszał.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W Kaliszu powstaje Towarzystwo pomocy dla młodzieży szkolnej.

— *Rusk. Wied.* donoszą, że ministeryum skarbu ostatecznie opracowało i rozesłało do opinii rad przemysłowych projekt prawa o odpowiedzialności właścicieli zakładów przemysłowych za śmierć i wypadki nieszczęśliwe robotników. Odpowiedzialność majątkowa spada na właścicieli we wszystkich wypadkach, oprócz pochodzących z klęsk żywiołowych lub z winy poszkodowanych. Skalę odpowiedzialności projekt czyni zależną od zarobku, stopnia uzdolnienia do pracy i potrzeb rodziny poszkodowanego.

Prasa. *Goniec łódzki* zacznie znowu wychodzić od 1 lipca r. b.

Szkoły. *Gornozawod. Listok* donosi, że sprawę utworzenia wydziału górniczego w politechnice warszawskiej rozstrzygnięto pomyślnie i że otwarcie wydziału nastąpi po ukończeniu budowy gmachu instytutu.

— Dzienniki petersburskie donoszą, że ministeryum spraw wewnętrznych wyjednywa w Radzie państwa powiększenie wpisowego, pobieranego od słuchaczów inżenierów cywilnych, do 75 rb. rocznie (dziś wynosi 50 rb.).

— Projekt założenia w Moskwie instytutu lekarskiego dla kobiet ostatecznie zatwierdzono.

— W Lublinie odbyło się zgromadzenie kupców i przemysłowców w sprawie założenia czteroklasowej szkoły handlowej. Ma ona powstać z funduszów kupców i przemysłowców m. Lublina, którzy na ten cel zobowiązali się dopłacać ustanowioną przez ministeryum skarbu sumę od świadectw handlowych i przemysłowych, z zastrzeżeniem, aby zasiłek z tego źródła nie przewyższał 4,000 rb.

Konkurs. Delegacya architektoniczna sekcyi technicznej Tow. przem. i handlu ogłosiła konkurs na szkic domu mieszkalnego przy ul. Chmielnej i Żelaznej w Warszawie (posesyi nr. 1424) z terminem 15 listopada 1899 r. Wyznaczono dwie nagrody: 500 i 300 rb. Po szczegółowy program konkursu zwracać się należy osobiście lub listownie do redakcyi *Przeglądu technicznego* (Krakowskie Przedmieście nr. 66 w Warszawie), począwszy od d. 25 czerwca r. b.

Koleje i komunikacye. Już się zorganizowała spółka (z kapitałem 60,000 rb.) w celu zaprowadzenia stałej komunikacyi samochodowej w obrębie gub. Piotrkowskiej i Kaliskiej.

Postanowiono zaprowadzić komunikacyę telefonową pomiędzy Piotrkowem, Tomaszowem i Łodzią.

Wystawy i zjazdy. Towarzystwo rolnicze w Kijowie urządzi r. b. wystawę inwentarza o charakterze targowym.

— W Londynie otwarto kongres delegatów państw europejskich, zwołanych z inicyatywy królowej Wiktoryi w celu obmyślenia środków przeciwko międzynarodowemu handlowi dziewczętami.

Katastrofy kolejowe. Na kolei Moskiewsko-Brzeskiej skutkiem wylewu rzeki Kropiwnej (dopływu Dniepru) zawalił się most w chwili, gdy przechodził pociąg towarowy. Kilka wagonów zniszczonych. Komunikacya przerwana. W ciągu kilku dni pociągi przychodziły do Warszawy spóźnione o kilkanaście godzin.

Przemysł i handel. Minister skarbu zatwierdził ustawę Towarzystwa kredytowego miejskiego w Suwałkach i Towarzystwa wzajemnego kredytu w Wieluniu.

— W *Zb. praw* ogłoszono ustawę „Towarzystwa przemysłowo-górniczego, częstochowskiego,“ którego założycielami są pp. Konstanty Skalkowski, inż. górniczy, Teodor Skawiński, Juljan Grabiański i Bertold Neumark; kapitał 400,000 rb. w akcyach 250-rublowych. Spółka ma na celu eksploatacyę kopalń żelaza w pow. Częstochowskim i w innych miejscowościach.

W tych dniach wyższe władze rządowe ponownie pozwoliły kolejom wydawać zaliczenia na zboże, przeznaczone do przewozu kolejami, tudzież na takie płody rolne, jak: len, konopie, nasiona oleiste itd. O takie pozwolenie koleje się nie starały, lecz zostało im ono nadane poniekąd z zewnątrz. *(Nowosti).*

— Według *Torg. prom. gaz.*, współzawodnictwo gorączkowe towarzystw ubezpieczeń niekorzystnie wpływa na niektóre działy ich obrotów. Mimo strat jednak towarzystwa nie przedsiębrały środków zaradczych; dopiero ostatnimi czasy daje się dostrzegać pewne dążenie ku poprawie. Dążności tej dziennik ministeryalny dopatruje się w układzie, zawartym świeżo przez „Salamandrę,“ rosyjskie Towarzystwo ubezpieczeń lądowych i morskich, oraz transportów, petersburskie i rosyjskie Towarzystwa ubezpieczeń. Każde z nich, przyjmując ubezpieczenie, bierze na swoją odpowiedzialność 25%, pozostałe 75% w równej mierze obciążają współuczestników. Umowa ta, zdaniem *Gaz.*, uwalnia towarzystwa od chorobliwego współzawodnictwa i umożliwia im dokonywanie ulepszeń w ubezpieczeniach.

Zmarli. Książę arcybiskup praski, kardynał Franciszek Schoenborn, w Pradze.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu G. R. w Kol. Jest to słuszną zasadą prasy, że polemika powinna być prowadzona w tem samem piśmie, które ją wywołało. Tytułuje Pan swój

artykuł: *audiatur et altera pars*. Dla naszych czytelników nie jest to *altera pars*, gdyż *prima* wystąpiła w *Gazecie polskiej*.

Panu Wacł. Niecz. Szkic Pański jest wypracowaniem bardzo niedołężnem.

Panu Ludwikowi Jak. Nie do Pana. Odpowiedź nasza w przeszłym numerze pod Pańskiem imieniem i pierwszą literą nazwiska odnosiła się do młodego poety.

Panu Pawłowi E w Moskwie. Pełniejsze lwowskie, chociaż także nie wolne od błędów.

Dzieło dr. J. Dallemagne'a

Człowiek zwyrodniały,

*które dołączaliśmy zeszytami w dodatkach **Prawdy**, wyszło w osobnej książce. Cena ogromnego tomu (742 str.) wynosi tylko dwa ruble bez przesyłki.*

SPROSTOWANIE: W nr. poprzednim, w wierszu p. t. „Do szczytu,“ w strofie ostatniej winno być: „Tam, gdzie niema początku i niema przystani.“

Reszta nakładu

„Szkiców Społecznych“

ZENONA PIETKIEWICZA

jest do sprzedania w redakcyi *Prawdy*.
Cena egzempl. 1 rb. 20 kop.

(Treść: I. Nędza i miłosierdzie. — II. Hygiena i życie. — III. Kobieta. IV. Samobójstwo).

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензуроп. Варшава 18 Іюня 1899 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka